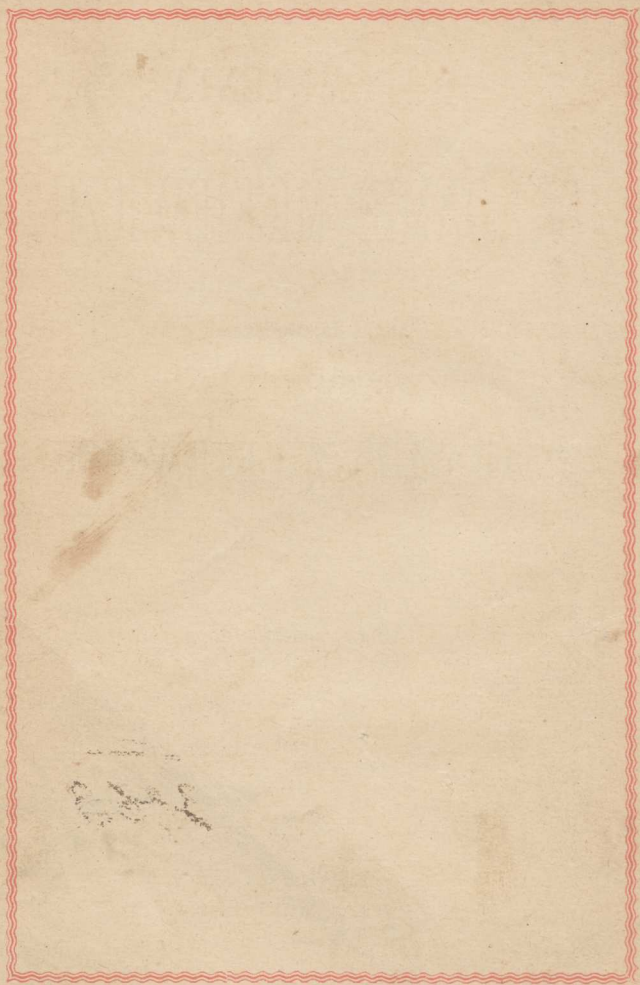




WSPOMNIENIA
O ADAMIE MICKIEWICZU





WSPOMNIENIA O ADAMIE MICKIEWICZU

opowiedziane najmłodszemu bratu

PRZEZ

MARYĄ GORECKĄ

Wydanie drugie, znacznie dopełnione



4557
13260

KRAKÓW
NAKŁAD AUTORKI
1889

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
W TARNOWIE

C-35624

DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

MIEJSKA

Biblioteka Literacka

im. Juliusza Słowackiego

W TARNOWIE

Nr.

Dla ciebie to, kochany mój Józiu, dla ciebie, który, straciwszy tak wczesnie rodziców, nie możesz ani przypominać ich sobie, ani wiedzieć jak słodko wzrastać w rodzicielskim domu, oddawna zamierzam skreślić moje wspomnienia z tych lat ubiegłych bez powrotu. Opowiadania urywkowe mało ci o domowej stronie życia ojca dać mogły pojęcia; pomyślałam zatem, że spisując to wszystko, co tak wernie w pamięci mojej odbiło się, może potrafię wskrzesić dla ciebie drogą postacie rodziców, uprzytomnić ci je lepiej, wprowadzić cię znowu do grona, które śmierć rozbiła, nim zdołałeś dobrze je poznać i dać ci uczuć, jakim życiem się żyło w gnieździe, które choć nieraz troskami nawiedzane, burzą wstrząsane, wykołysało szczę-

śliwe nasze dzieciństwo. Choć wiem, że nie będę mogła, tak jakbym chciała, tak jakby trzeba, odmalować ci owych czasów, czuję, że cokolwiek ci powiem o rodzicach, podwoić tylko może twoję cześć i miłość dla ich świętej pamięci. Ta myśl dodaje mi siły i odwagi do pracy, która wiele mnie kosztować będzie, bo wywołanie przeszłości odnawia w sercu mojem niezagojone rany, i nieraz wyciska łzy tak gorzkie, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy ukłękliśmy sierotami wokoło świeżej mogiły matki a wkrótce i ojca, nad którymi teraz tyle lat już przeszło.

Pierwsze moje wspomnienia sięgają bardzo daleko, bo parcieć, którą zawsze miałam dobrą, wcześniej poczęła rozwijać się i w umysł wrazać przygody dzieciństwa. Przypominam sobie, choć jak przez sen, nasze mieszkanie na *rue du Val de Grâce*, a raczej duży dziedziniec z ogrodem i z trawnikiem, na którym z Władziem prawie cały dzień spędzaliśmy, przewracając się na trawie i wyglądając, czy przez bramę kto nie zawita do rodziców. Częstym podówczas ich gościem był mój ojciec chrzestny, sędziwy

staruszek Julian Ursyn Niemcewicz, u którego w szczególnych byłam łaskach. Tytułował mnie swoją kochanką, wiersze do mnie pisał, psuł aż do zbytku i wszystkim moim dziecinnyim zachceniom dogadzał. Wylatywałam też zawsze naprzeciw niemu z okrzykiem radości, ale muszę wyznać, że nie tylko wiedziona czystem uczuciem przywiązania, lecz także żeby plondrować po kieszeniach, które bywały naładowane ciasteczkami, cukierkami a nieraz i podarunkami. Przynosił mi też często rozmaite rzeczy do ubrania, pończoszki, kaftaniczki i t. p.; ale że sam nigdy nie miał dzieci, nie zdawał też sobie sprawy, że dziecko rośnie: brał zawsze tej samej wielkości, jak kiedym miała kilka miesięcy, i wiecznie potem się dziwił widząc, że za małe. Niedługo, niestety! miał go wzrost mój zadziwiać, bo kiedy umarł, byłam jeszcze tak mała, że idąc za jego pogrzebem w Montmorency, w piękny dzień majowy, koniecznie napierałam się, żeby biegać i rwać kwiatki: dopiero wówczas, kiedy postawiono mnie nad dołem i kazano pierwszą grudkę ziemi rzucić na trumnę, żal i przestach mnie

ogarnął, bom nagle zrozumiała, że on tam już na zawsze zamknięty. Ale na *rue du Val de Grâce* żaden cień czarny nie przesuwiał się przez dnie nasze jasne i wesołe.

Pamiętam też z owych czasów, choć mniej wyraźnie, Stefana Witwickiego, który lalki mi przynosił, oraz, jak za mgłą jaką, wyjazd do Chili przyjaciela ojca, p. Ignacego Domejki, o którym często wówczas i potem była mowa. Opowiadania o dalekiej podróży, o nieznanych krajach, wielkie na moim dziecinnym umyśle czyniły wrażenie, i Ameryka przedstawiała mi się jako kraj zaczarowany, pełen bogactw rozmaitych, nadzwyczajnych drzew, kwiatów i prześlicznych ptasząt. Z niecierpliwością wyglądałam powrotu p. Domejki, którego przez ojca prosiłam o przywiezienie mi trzech rzeczy: szalu tureckiego, brylantów i żywego kolibrzyka, nie upatrując zapewne nic świetniejszego na świecie nad ten dość dziwny dobór prezentów. Tymczasem z wielkiem zajęciem słuchałam listów podróżnika, które ojciec, widząc moją ciekawość, najczęściej głośno mi czytał.

Tak jak zwykle u dzieci bywa, drobiazgi

bardziej mnie uderzały, niżeli rzeczy ważniejsze i zwykły tryb życia. Zostało mi tylko w pamięci, że ojciec bardzo mnie psuł, pieścił i dużo się mną zajmował, do tego stopnia, że, jak mi później opowiadała mama, kiedy mnie zaczęto w pieluchach sadzać na ziemi, ojciec kładł się obok mnie, abym patrząc na niego nauczyła się pełzać, bo lękał się, żebym własnym rozumem nie potrafiła z miejsca ruszyć na czworakach. Do trzech lat przeszło nie chciałam inaczej zasnąć jak na ręku ojca, który długimi godzinami nosił mnie po pokoju, ani pozwolić, żeby gdzie wyszedł wieczorem. To też ojciec musiał używać wybiegów, aby się oswobodzić od *swego tyrana*, jak mnie sam często nazywał. Zatem kiedy miał wyjść wieczorem a moje podejrzliwe oczy zamknąć się nie chciały, zapowiadał, że mnie bierze z sobą do znajomych. Ubierano mnie w kapelusik i płaszczyk, i ojciec wynosząc mnie do drugiego ciemnego pokoju, perswadował, że idziemy po schodach, że przechodzimy przez ulice, póki ukołysana nie zasnęłam na jego ręku. Te moje dzikie wymagania nie przeszkadzały admi-

racyom ojcowskim dla zepsutego dziecka. W kilkanaście lat później dowiedziałam się od mamy, że był nawet ułożył wiersze opisujące nieporównane wdzięki i przymioty córki, ale potem zastanowiwszy się, że kiedyś mogłabym, wszystko to wzięwszy za prawdę, wzbić się w miłość własną, podarł je i spalił, pozbawiając mnie tak drogiej pamiątki.

Podróż nasza do Szwajcaryi, kiedy ojciec powołany został na profesora do Lozanny, pierwszym była ważniejszym wypadkiem odznaczającym się na cichem i błogiem tle mego życia. Odbyliśmy ją tak, jak się wówczas podróżować musiało, dyliżansem, w którym przez trzy dni i trzy noce rodzice byli zamknięci z dwojgiem małych dzieci, a z tych jeszcze jedno chore. Na każdej stacyi pocztowej rozpoczynały się kłopotliwe poszukiwania ciepłego mleka, gdyż Władzio, bardzo wówczas cierpiący, nic innego wziąć do ust nie mógł. Na noc ojciec zawsze mnie kładł na ławeczce za sobą i płaszczem swoim otulał, którato pościel bardzo mi się podobała. Ale raz zbudziwszy się w nocy, co mi się dotąd jeszcze nie było zdarzyło,

ubawiłam ojca zapytaniem, które nieraz potem mi przypominał: Papo, dlaczego słońce zapomniało wstać?

Przyjazd nasz do Lozanny otworzył mi nową erę swobody i zabawy. Mieszkaliśmy w willi *Beau-Séjours*, jednej z najpiękniejszych nad jeziorem, w której Napoleon stał w czasie swego przejazdu przez Lozanę. Zajmowaliśmy całe dolne mieszkanie domu; na pierwszym piętrze była się ulokowała jakaś księżna Wirtemberska, z którą później poznajomiliśmy się i która przyjemną nam była sąsiadką. Jak dzisiaj pamiętam duży salon, którego okna i drzwi szklane wychodziły na ogród i na całą dolinę schodzącą ku jezioru. Przeciwnie ściana, cała zwierciadlana, odbijała cudny ten krajobraz: błękitną przestrzeń Lemanu i w oddaleniu śnieżne góry, na które z tem większem patrzałam upodobaniem, żem wyobrażała sobie, iż cukrem posypane. Co rano, ledwie wstałam, wbiegałam do tego salonu i zawsze zastrawiałam ojca siedzącego przy stole zarzuconym papierami, który stał przy oknie. Z poufałością zepsutego dziecka odrywałam go od pracy, chwytając za rękę

i schodziliśmy razem do ogrodu, przypatrywać się krzewom, kwiatom i owadom. Ojciec nieraz długo stał ze mną nad mrowiskiem, pokazując mi i sam z zajęciem studyując (bo historią naturalną bardzo lubił) obroty i rozum tych drobnych stworzeń, lub dopomagał moim usiłowaniom, aby muchy wybawiać z sieci pajęczych. Te ranne przechadzki wielką były dla mnie uciechą, cieszyłam się też bardzo kiedy mnie ojciec brał z sobą na spacer i wędrowaliśmy po mieście lub schodzili do jeziora. Pamiętam jak dzisiaj, że raz miała jakieś trzewiczki, do których ciągle piasek wpadał; ledwie kilka kroków uszłam, utyskiwać zaczynałam, że kole. Wówczas ojciec z niezmordowaną cierpliwością przykładał na ziemi, zdejmował trzewiczki, piasek wysypywał i wkładał mi je znowu, aby za chwilę znów mieć tę samą przyjemność. Tak wędrując powoli, w poranek wiosenny dość zimny, bo choć słońce już dogrzewało, w cieniu było chłodno i lód nie wszędzie stopniał, postrzegłam bryłkę lodu, doskonałe kształt gruszki naśladującą. Przymarzała do niej zielona gałązka dopełniała po-

dobienstwa. Naparłam się, aby ją wziąć i mamie zanieść, lecz żeśmy jeszcze mieli iść dalej, ojciec poradził zostawić ją na trawie w cieniu, gdzie mniej prędko stopniećby mogła. Jednak kiedyśmy powrócili w ten sam zakątek cienisty, już słońce było podeszło wysoko i na miejscu zlodowaciałej gruszki nic nie zostało, prócz zielonej gałązki zwilżonej wodą. Na ten widok, osłupiała z początku, pojąć nie mogłam co się było stało, potem dopiero płakać i żałować zaczęłam tak pięknej, tak rzadkiej gruszki z lodu. Trzebaż było aby tak prędko stopniała! Wówczas ojciec coś wyrzekł o znikomości rzeczy tego świata. Słów nie zrozumiałam, ale głęboko smutny wyraz, który na chwilę twarz jego przybrała, mocno mnie zastanowił.

Podczas tych spacerów parę razy zdarzyło się, że odbiegłam ojca zajętego rozmową ze spotykanymi znajomymi, i sama powracałam do domu, żeby pokazać, że już własnym rozumem drogę wynaleść umiem. Niespokojny ojciec po całym mieście mnie szukał, i pomimo moich przywilejów, pamiętne odebrałam kary za te po-

pędy samowolności. Ale bardziej jeszcze zasłużona i strasznie upokarzająca kara spotkała mnie za wybryk miłości własnej, obudzony poprostu parą trzewiczków z bronzowo-złotawej skórki, któreto trzewiczki sprawiono mi na wieczór dziecinny u dobrych znajomych rodziców pp. Jundziłłów. Było tam dużo dziewczątek, ale choć miały jak ja białe sukienki, trzewiczki wszystkie były czarne, z czego w tak niesłychaną wzbilałam się dumę, że z nikim już mówić nie chciałam, królując w tak pięknem i rzadkiem obuwiu. U moich rywalek upokorzonych płacz się podniósł i skargi, co gdy doszło do ojca, przed wszystkimi ostre wymierzył mi napomnienie, trzewiczki solennie skonfiskował i drugiej dziewczynce darował, pomimo mojej rozpacz przy tak tragicznej scenie. Ale ta jedna tylko okoliczność zachmurzyła pobyt mój u pp. Jundziłłów, u których często bawiłam z powodu choroby Władzia, zawsze niepokojącej rodziców. Liczna ta, bo dwanaścioro dzieci licząca rodzina, we wzorowym była utrzymana porządku i posłuszeństwie, nie przeszkadzającym jednak dziecinnej swo-

bodzie i zabawom. Że dla tylu główek miejsca czasem brakło, choć dom był obszerny, przez parę tygodni spałyśmy we dwie w dużej szufladzie ogromnej komody, i raz sprawiło to *coup de théâtre*, kiedy ojciec po wielkim obiedzie, chcąc gościom zaprezentować swoją córkę, znienacka otworzył drzwi salonu i wyjął mnie z tej szuflady, zaledwo owinąwszy w szal jakiś.

U pp. Jundziłłów doszła mnie wiadomość, że mi się urodziła siostra Helenka. Tak się napierałam, żeby ją zobaczyć, że mi w końcu przyniesiono dużą lalkę, którą czułem i osypałam pocałunkami; ale wkrótce spostrzegłszy drewno, w straszny gniew wpadłam, że mnie oszukano, i nazajutrz rano musiano mnie zaprowadzić do pokoju mamy, która wychyliwszy się z łóżka, ukazała mi leżącą w kołysce okrągłą laleczkę, tą razą żywą, a widząc moją radość, ucałowała mnie z uśmiechem, który został mi w pamięci.

Nie przypominam sobie dobrze, czy przed urodzeniem czy po urodzeniu Helenki, Władzio, który przez pierwsze lata życia bardzo był wątłego zdrowia, mocno choro-

wał; ale jak dziś widzę jego twarzyczkę tak bladą, że aż w zieloność wpadała, i zagasłe oczy, kiedy raz, przybiegając do domu, zobaczyłam mamę siedzącą przed gankiem i uderzył mnie kontrast pięknej i wesołej natury ze smutną twarzą mamy i wynędzniałem obliczem dziecka, co nieruchome leżało na jej kolanach. Ztąd budziło się u mnie dla brata czulsze przywiązanie i jakby macierzyńskie uczucie opieki nad słabszym, a zarazem ciemne poczucie, że jest co innego niż wesołość i zabawa na tym świecie. W tym czasie zaczęto mi też wrazać pierwsze pojęcia obowiązkowej pracy z lekcjami czytania. Z abecadłem uciekałam najczęściej od mamy do papy, bo daleko był pobłażliwszy, łatwiej wierzył nadzwyczajnemu memu zmęczeniu przy tak ciężkim i mozolnem zajęciu, i nieraz namówić się dawał, aby lekcją zamienić na spacer. Z rzadką cierpliwością słuchał też najdziwniejszych pomysłów, których mu przy tej okazji udzielałam, i długo a obszernie tłumaczył upartej mojej głowie, że B muszę koniecznie wymawiać B a nie inaczej, a litery S, której

niecierpiałam, nawet sam papa nie ma prawa wyrzucić z abecadła. Kiedyśmy byli sami, o zmroku, mama zasiadała do fortepianu, a ojciec uczył mnie śpiewać: *Wanda leży w naszej ziemi; Poleciała przepióreczka w proso; Nasza dziewczyna robocza była, wzięwszy kądzialkę po wsi chodziła*, i bardzo mu ulubioną piosnkę: *Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój*. Z powodu tej ostatniej bardzo się uśmieł, bo nauczyły się ją śpiewać i małe Jundziłłówny, a ztąd wszczęły się między nami kłótnie i wyrzuty: »Dlaczego ty śpiewasz moją piosneczkę?« Często też ojciec mi nucił smętną piosenkę: *Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem*, ale ta ostatnia zawsze mnie wprawiała w wielki smutek. Ponieważ mowa tam była o bracie i siostrze, wyobrażałam sobie zaraz Władzia żołnierzem, konika powracającego do mnie po jego śmierci, i nigdy do końca dosłuchać nie mogłam zbyt żałosnej dla mnie śpiewki. W tym czasie p. Bohdan Zaleski przyjechał do Lozanny i coś mówiono wieczorem o poezyi; ja siedząc na ziemi przysłuchiwałam się niby rozmowie, lecz wistocie

nic nie rozumiałam. Wtem ojciec nucić zaczął: *Idzie żołnierz borem, lasem...* Nim doszedł do końca, rozbeczałam się rzewnie i zanosić się zaczęłam od płaczu.

— Otóż widzisz, — rzekł ojciec do przyjaciela — jak silnie działa poezya ludowa.

Ale od tej pory piosnki tej już mi nie śpiewał.

Z tych, którzy u nas bywali, wrazili mi się w pamięć tylko dwaj Włosi, pp. Melegari i Scovazzi, bo mi się wydawali weseli, bawili się ze mną, i kiedyśmy szli na spacer, zewsząd zbierali mi kwiatki. Raz schodząc do jeziora i idąc wzdłuż ogrodu willi, która należała do jakiejś starej Angielki, naparłam się koniecznie ślicznej róży, co wyrastała w wazonie postawionym na murze. Że nic mi odmówić nie można było, p. Melegari laską spróbował różę strącić, ale tak szczerze wziął się do dzieła, że i wazon razem z hukiem poleciał na ziemię. Wówczas i on i ojciec jak dzieci śpiesznie uciekli z miejsca katastrofy, a ja za nimi, okropnie wystraszona, bo tą Angielką, której nigdy nie widziałam, nieraz mnie straszono, i wyobrażałam sobie, że

najmniej mnie zje za taki występ. Szczęściem wyjechaliśmy na parę tygodni na wieś do dobrej przyjaciółki rodziców p. Mandrot, i zdala od przedmiotu mojej obawy miałam czas się uspokoić.

Pamiętam, że kiedy burze bywały na jeziorze, ojciec z upodobaniem im się przypatrywał z ogromnych okien salonu, a czasem lubił, aby wówczas mu grano. Bawił przez jakiś czas w Lozannie znany gitarzysta p. Szczepanowski i często u nas bywał. Ojciec rad słuchał jego muzyki, i szczególnie lubił hiszpańską *cachucha*, którą miałyśmy z małemi Jundziłłami pretensją nibyto tańcować. Otóż raz ta *cachucha* akompaniowaną była wichrem i grzmotami. Ztąd i ja nauczyłam się nie lękać burzy i podziwiać piękność błyskawic rozdzierających chmury. Ale z tego co zaszło przed wyjazdem do Paryża, mało pamiętam. Lozanna została mi tylko w pamięci jako zarys mego dzieciństwa, i ozłocona jasnym słońcem, ożywiona błękitnem niebem i cudną naturą, oraz pieśczętami ojca, który więcej się tam mną zajmował, niż później być już mogło. W Paryżu czekało

go liczne grono przyjaciół i znajomych, życie pełne ruchu, czasy burzliwe i świetne *Collège de France*. Wśród tego wszystkiego nie było tak często jak przedtem swobodnej chwili dla Misi, i dlatego kiedy chcę siebie zobaczyć uwieszoną u ręki ojca, słuchającą jak z nieskończoną dobrocią i cierpliwością mojej dziecinnej wyobraźni tłómaczył prawa przyrodzenia i organizacją owadów, jak ze mną podziwiał świeżość kwiatów i piękność poranku, cofam się do *Beau-Séjour* chętniej niż do późniejszych dla niego świetniejszych, ale dla mnie mniej już jasnych i szczęśliwych czasów.

Ojciec mego żalu po Lozannie wcale nie dzielił. Choć go tam przyjęto z entuzjazmem, na jaki tylko spokojni Szwajcarowie zdobyć się mogą; choć przy słuchaniu jego prelekcij entuzjazm coraz wzrastał, tak, że stawiono go w rzędzie pierwszych urzędników kantonu i aby zatrzymać w Lozannie, ofiarowano pensją na kraj tani istotnie znaczną: ojciec wyżyć nie mógł w ciężkiej i dusznej dla niego atmosferze cichego miasta, gdzie ruchu umysłowego wyższego nie było, ani nikt jego nie czuł

potrzeby, gdzie każdemu najzupełniej wystarczała materyalna pomyślność kraju, w którym każdemu spokojnie żyć, z bogać się i familią wychowywać można. I oprócz kilku wyjątkowych przyjaciół, z którymi zawsze odtąd pozostał w stosunkach, Szwajcarowie wykowani, jak nie-raz później mówił, z granitu skał alpejskich i przypominający to chłodem i ciężkością swoją, nadto nieruchome stanowili społeczeństwo dla wzniosłej i cierpiącej duszy.

Powróciliśmy tą razą do Paryża, zatrzymując się w Bernie i Strasburgu. W Bernie pokoju ojcu nie dałam, aby zobaczyć niedźwiedzie miasta, o których jeszcze w Lozannie mi opowiadał, a w Strasburgu zwiedzając katedrę z przyjaciółmi swemi pp. Grotkowskimi, wniósł mnie z ich pomocą aż na sam szczyt wieży, wciąż słysząc za nagrodę moje żale, że tak śliczny kościół nieumyty. W Paryżu zajęliśmy dość obszerne mieszkanie przy *rue d'Amsterdam* Nr. 1 ¹⁾, które moim dzie-

¹⁾ W tem miejscu uważam za właściwe sprostować mylną wiadomość podaną przez p. Estreichera, a po-

cinny oczom większe się wydawało niż teraz, kiedym je znowu zwiedziła temu lat parę. Ojciec miał pokój, salonem przedzielony od mamy pokoju, a środkowe drzwi tego salonu wychodziły do sali jadalnej, gdzie chętniej jeszcze, niż w przeznaczonym nam pokoiku, główne nasze z Władziem zajmowaliśmy stanowisko. Po obiedzie, jeżeli ojciec był sam, biegłam do niego i przypominałam sobie lozańskie przywileje: opowiadał mi rozmaite rzeczy, zadowalał coraz żywiej rozbudzającą się wszechstronną ciekawość dziecinną, lub później egzaminował mnie z tego, com czytała. A że pierwszą niemal moją książką były «Życia sławnych ludzi» Plutarcha, tłumaczenia Krasickiego, rozprawialiśmy o historii greckiej i rzymskiej, i przypominam, jak gładząc mnie ręką po głowie,

wtórną przez p. Erazma Krzyszkowskiego («Czterdzieści i cztery. Przyczynek do studyów nad «Dziadami» Mickiewicza»), jakoby ojciec mój mieszkał przy *rue d'Amsterdam* pod Nr. 44. Powtarzam więc raz jeszcze, że od roku 1840 do 1845 mieszkaliśmy przy *rue d'Amsterdam* pod Nr. 1, a nigdy pod 44.

(Przypisek autorki).

i ulubionym swoim gościem odrzucając mi wtył włosy z czoła, z uśmiechem słuchał, jak paplałam o Cezarach, albo zachwycałam się nad moimi dwoma bohaterami: Epaminondasem i Aleksandrem Macedońskim,— ubawiony zapewne kontrastem, który stanowić musiała małeńka moja postać z przedmiotami naszej rozmowy. Byłyto chwile szczęśliwe, w których obok pobłażania ojcowskiego, instynktownie czułam wyższość umysłu, który czasem jednym słowem wytłómaczył mi trudność jaką, lub rozwidniał to pole wiedzy, której byłam tak chciwa. To też drżałam, żeby nie odezwał się dzwonek w przedpokoju, bo za przybyciem kogo ze znajomych, musiałam jak niepyszna wynosić się, albo w kącie pozostać, i ze szczera nienawiścią patrzyłam na każdego, co przychodził o tej porze, choć z kądiną gościom, których dużo u nas bywać zaczęło, rada bardzo byłam, byle nie zjawiali się o mojej godzinie. Życie w tych pierwszych latach, choć mniej swobodne, niż w Lozannie, było dla nas bardzo szczęśliwe i wesołe pod czułym i najtroskliwszym dozorem matki.

Zamknawszy oczy, nieraz zdaje mi się, że jeszcze widzę śliczną jej postać i czuję łagodne dotknięcie jej dłoni, kiedy do snu nas układała, albo kiedyśmy rano biegli do jej łóżka na dzień dobry.

Nietylko ona i ojciec, ale przyjaciele i znajomi psuli nas bardzo: nie zbywało mi ani na zabawkach, ani na ładnych sukienkach i świecidełkach, do których miałam upodobanie. Choć dzieci na piękność mało zwykle zwracają uwagi, cieszyło mnie, że mama tak ładnie wyglądała, szczególnie kiedy czasem ubrała się, żeby wyjść z ojcem, i z zachwyceniem przypatrywałam się jej toalecie. Ale ojciec nie lubił bywać w świecie. Czasami zdarzało się, że zdecydowany pojechać gdzie z żoną, w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Raz mama ubrana nadzwyczaj do twarzy (jak to zauważyła znajoma, która była nadeszła właśnie w chwili, kiedy fryzyer kończył swoje dzieło), zaczekawszy czas jakiś na ojca, poszła wkońcu do jego pokoju i zamiast znaleźć go wkładającego rękawiczki, zobaczyła siedzącego w szlafroku przed kominkiem.

— Czy wiesz, moja Celinko, — odezwał

się — że wcale mi się nie chce jechać na ten wieczór? Jestem trochę zmęczony, czy nie zostalibyśmy lepiej w domu?

Na to mama najspokojniej, a nawet z uśmiechem, poszła rozebrać się i z włosów wypleść ponsowy aksamit, który tak pięknie je zdobił; stało się to z niesłychanym zadziwieniem owej znajomej Francuzki, która tak chętnej uległości pojąć nie mogła u młodej i ślicznej kobiety, i przez długie lata jeszcze przypominała jej tę scenę. Z równą spokojnością i chęcią umiała ona później wyrzec się nie tylko przyjemności, ale wygod życia, najcięższe kłopoty i biedy emigranckiego bytu przenosząc z taką rezygnacją i pogodą, żeśmy się ich goryczy nie domyślali wcale, z energią nieporównaną dźwigając ciężar, który i silniejsze mógł ugnieść barki. Nie pamiętam, abym kiedy słowo zniecierpliwienia lub skargi z ust jej posłyszała, lub porównywania dawniejszych wygod z dzisiejszym niedostatkiem, choć piękne i delikatne jej ręczki do najtwardszej czasem pracy gospodarskiej brać się musiały. Cała mężowi oddana, w miłości tej siłę czerpała

na wszystko. Wdrażała nam swym przykładem przekonanie, że i materyalne próby mają godność swoje; jeżeli są w połączeniu z ofiarami poniesionemi dla dobrej sprawy, że w dopełnieniu wytrwale tego obowiązku znaleźć się powinna nagroda, a więc i wesołość. Ślad tego mężnego zapatrywania się na życie dla siebie i swoich odnajduję w jej listach, pełnych zkaźnań najczulszej troskliwości macierzyńskiej. Dzieckiem jeszcze byłam, gdy pisała do mnie bawiącej w Księstwie Poznańskim:

«Życzeniem ojca i mojem jest, żebyś
«spowiedź odbyła za swoim powrotem —
«ja cię sama przygotuję do tak ważnego
«aktu. — Bądź zdrowa, wesoła, pracowita.
«Nie zapominaj o domu i biedzie emigran-
«ckiej, bo wkrótce do niej powrócisz, moja
«miła Maryniu. Kiedy nam z tem zdrowo
«i wesoło, cóż dopiero powinnyby być to-
«bie, która jeszcze nie cierpiałaś i tylko
«używasz na świecie!»

A w innym znów liście:

«Staraj się swoje rzeczy sama sporzą-
«dzać i najmniej wymagać posługi; — pa-
«miętaj, moje dziecko, że jesteś emigrantką,

«że dostatku i wygody, któremi jesteś
«otoczona, nadal mieć nie będziesz, ale
«musisz sama duszą i rękami na siebie
«zapracować».

W późniejszych latach pisała do mnie
do Rzymu:

«Helenka cieszy się nadzieją, że będziesz
«obecna przy jej pierwszej Komunii, a ja
«niemniej się cieszę, ale zalecam ci, moja
«droga Maryniu, jakby cioci wypadło
«dłużej zabawić, żebyś to chętnie uczyniła,
«tak jak ja to zrobię, jeżeli jej to będzie
«użytecznem. Trzeba zawczasu przywykać
«nie do tego, co nam miłe i dogodne, ale
«do tego, co obowiązki i okoliczności na-
«stręczają, a tak zamlodu naginając się do
«tego, zamiłowawszy tę drogę, staje się
«ona z czasem słodką, chociaż czasami
«twardą i dla nas niewygodną».

Po twardej tej drodze miała ona postę-
pować aż do końca życia z całkowitem
zaparciem się, i nic jej na niej wstrzymać
nie zdołało, nawet niebezpieczeństwo.

Stoi mi jeszcze w oczach, jak raz w na-
szym dziecinnym pokoiku ogień się zajął
od nieostrożnie postawionej świecy, i już

obejmował płomieniem cały szereg sukienek wiszących wzdłuż ściany, — tuż obok stały szafy z książkami i bielizną — pożar byłby w parę minut wybuchnął. Ale nie tracąc ani chwili na wołanie sług daleko, bo na dolnem piętrze znajdujących się, matka oderwała od piersi i rzuciła na łóżko mego braciszka Jasia, którego właśnie karmiła, a sama chwytając palące się sukienki, zerwała je ze ściany, przydeptała i zarzuciwszy kołdrą, ogień przytłumiła i zagasila bez niczyjej pomocy.

Z równą stanowczością, podczas strasznej rewolucyi czerwcowej 1848 r., przeszła sama jedną całe wzburzone miasto, aby Quinet'owi powtórzyć polecenie odebrane dla niego od ojca (myśmy mieszkali na Batignolles, on na ulicy Montparnasse). Gdy zechciała powracać do dzieci, wznosiły się już barykady i szeregi wojsk broniły przejścia. Daremnie jednak pani Quinet chciała mamę powstrzymać: puściła się znowu sama nazad i dotarła celu, bo jakiś wyższy oficer uderzony jej odwagą, ofiarował jej *laissez-passer* pod imieniem swojej żony, i podawszy jej ramię, sam

przeprowadził aż do domu, przez barykady i patrole.

Surowa dla siebie, nadzwyczaj jednak miała wrażliwe serce na wszelkie zmartwienie, potrzebę lub biedę bliźniego, i do ciężkich swych zadań domowych ciągle przydawała rozliczne uczynki miłosierdzia, które nieraz przechodziły jej możność i siły. Rzadko zato spotykała się z wdzięcznością tych, którym świadczyła, a często z przykrościami różnego rodzaju. Nie mogę się powstrzymać od oburzenia, gdy wspomnę, jak za anielską jej dobroć odpłacaly niskie dusze zawiścią i obmową, jak na cichem jej męstwie, skromnych a wielkich cnotach, jak za życia, tak i po śmierci, poznać się nie umiano. Z tego wieńca, w którym dla ojca tyle cierni wplatało się w świetne wawrzyny, jej prawie same tylko ciernie czuć się dawały, a temi ileż razy martwą jej skroń jeszcze pokaleczono! Nie tylko nie oddano jej należnego uznania, ale nie poszanowano bolesnych szczegółów jej krótkotrwałej choroby, wystawiono na szeroką widownię poufne zwierzenia w przykrych chwilach dorywczo nieraz pisane, —

a pozostałe w papierach ojca, które wedle prawa opieczętowane na wiadomość o jego zgonie, bośmy wszyscy byli małoletni,—i oddane komitetowi wydawnictwa dzieł jego, do rąk dzieci jej powróciły, dopiero wtedy, gdy zapóźno już było, aby wycofać je z obiegu. W artykułach biograficznych o ojcu, jedni po drugich wykrzywiają rysy charakteru jego żony, okoliczności, których dokładnie nie znają, nakręcają do swego widzimisie, a najwięcej fałszów popisali o niej ci, co dobrodziejstwami jej kiedyś bywali osypani, i którym za epigraf dzieła położyć wypadało: kto na ciebie chlebem, ty na niego kamieniem.

Gdyby dobrze czyniąc, chciało się wyglądać nagrody na ziemi, przykład matki i widok tego, czem się jej odplacono, byłby mógł jej dzieci przejąć na zawsze wstrętem do dobrych uczynków i chrześcijańskiego zapominania uraz. Ojcu też podobnych doświadczeń nie brakło, i mogłabym ci niejeden ciekawy epizod opowiedzieć o tej stronie życia rodziców, gdybym nie pamiętała, że względem wszystkich trzymali się oni zasady, którą

starożytni zalecali względem umarłych, mówiąc o nich albo dobrze, albo wcale. Pomimo rozczarowań i zawodów, ojciec do końca sądził wielu ludzi wedle siebie, to jest lepszymi i szlachetniejszymi niż byli, a mama czas i możność zawsze znajdowała, nawet kiedy dla swoich brakło, dla biedniejszych być jeszcze pomocą i podporą. Na *rue d'Amsterdam* (od której zbyt daleko odbiegłam) mogła ona przynajmniej, dopomagając drugim, dla swoich być wolną od obawy na dzień jutrzejszy, jak nieraz później być miało. Dom był utrzymany na stopie skromnej, ale wygodnej, gości bywało dużo i często wieczorem zbierano się na herbatę. Jak się wówczas bawiono, ciemne tylko miałam wyobrażenie, bo o wpół do dziewiątej zjawiała się po mnie bona, i pomimo żalów i gniewów pakowała do łóżeczka, gdzie tak smutno było zasypiać przy szmerze rozmów, dźwięku muzyki i brzęku filiżanek w salonie. Raz ojciec przytrzymał mnie i pokazał jakiegoś pana w białych rękawiczkach, który siadał do fortepianu; wokoło słyszałam jak powtarzano imię Chopina. Grał długo, ale

X
zbytecznie mówić o ile niezrozumiała była dla mnie ta muzyka, która mi niegodnej żadnego nie zostawiła wspomnienia. Takie samo, niestety, wrażenie wywarła na mnie prelekcyja ojca w Collège de France, na którą mnie raz mama zaprowadziła. Choć zaciekawiona z natężoną słuchałam uwagą, nic ztamtąd nie wyniosłam, prócz uczucia wielkiego upokorzenia, że nic nie zrozumiała w tem wszystkim, co tylu ludzi tak interesowało, a tego ojciec tłumaczyć mi nie myślał.

Raz jednak ledwo, z łaski mojej mądrej osóbki, jedna jego prelekcyja dziwnym epizodem urozmaiconą nie została. Zobaczyłam gdzieś wiewiórkę i koniecznie napierać się zaczęłam, żeby taką dostać, a ojciec naturalnie zaraz obiecał postarać się o to dla Misi, która nie omieszkała codziennie przypominać mu obietnicy. Szedł jednego poranku do Collège de France, kiedy na moście zobaczył siedzącego Sabaudczyka z wiewiórką. Ucieszony, że przecie dogodzi gorącym moim życzeniom, zapomniał, że na prelekcyję idzie, kupił ładne zwierzątko, a że zimno było, wsunął ją w za-

nadrze i zapiąwszy dobrze surdut, aby nie uciekła, poszedł dalej. Ledwie uszedł kilkanaście kroków, prelekcyja przyszła mu na myśl, a zato wiewiórka zupełnie wyszła z pamięci. Wchodzi zatem ojciec na katedrę, i mówić zaczyna. Przez czas jakiś wszystko szło dobrze, aż wiewiórka znudzona długim spokojem, albo może zbyt już czując gorąco w sali dobrze ogrzanej i pod ciepłym surdudem, kręcić się żywo zaczęła, szukając wyjścia z ciemnej kryjówki. Rzecz ciągnąc dalej o literaturze słowiańskiej, czuł profesor na piersiach wszystkie skoki i poruszenia wiewiórki. Ale nagle pogorszyło się i tak już nieprzyjemne położenie: wiewiórka trafiła w otwór od rękawa i żywo zsuwać się przezeń poczęła; ojciec drugą ręką co prędzej rękaw u dołu uchwycił, skreślił i trzymał mocno, lękając się co chwila, aby znieścacka mieszkanka lasów, wylatując z rękawa profesora jak niesłychane zjawisko, wśród zadziwionej publiczności jednym skokiem się nie znalazła. Przy takim pasowaniu się z niewygodnym gościem, dalej prelekcyją prowadzić i kończyć musiał,

dziwnym tym kłopotem okupując moję fantazyą. Tak drogo opłaconą wiewiórką niedługo jednak cieszyłam się, okazała bowiem, przy całej zwinności i gracyi, nadzwyczaj dziką i złośliwą naturę. Parę razy przegryzłszy druty klatki, w nocy wypadła i szkody narobiła, raz ojcu całą poduszkę pod głową wygryzła, a gdy wkońcu zamiast podawanego jej orzecha, rękę mocno mi ukąsiła, wydaloną ją z domu i nadal na pieskach musiałam poprzestawać.

Innej mojej zachciance łatwiej stało się zadość. Szczególniejszym moim przyjacielem był p. Feliks Wrotnowski, bo ile razy przyszedł, usiadłszy ze mną nauboczu, piękne, długie bajki mi opowiadał. Zapytana przez niego, co ma mi przynieść na gwiazdkę? zażądałam paliowych rękawiczek. Dla małych dzieci rzecz to nieużywana, nawet w Paryżu; trzeba więc było obstalować je umyślnie na moję rękę, którą ojciec z p. Wrotnowskim odrysowali w tym celu na papierze. Możesz wyobrazić sobie, z jakim uczuciem znalazłam po śmierci ojca w jego papierach zachowany na pamiątkę rysunek z położonym

przez niego napisem: rączka Maryni, i datę; czy bez rozrzewnienia wspomnieć mogę o tych drobiazgach, dowodzących z jak czułą troskliwością nawet wybrykom dziecinnyemu lubił dogadzać i dla nas małych drobnostkowym być umiał!

Co niedziela zwykle bywaliśmy na obiedzie u pp. Franciszków Wołowskich, zacnych krewnych mojej matki, dla których ojciec bardzo wiele miał przyjaźni i poważania. Zięć ich p. Leon Faucher, znakomity mąż stanu i ekonomista, późniejszy podjął myśl utworzenia w *Collège de France* katedry literatury słowiańskiej i ofiarowania tej posady ojcu, wówczas profesorowi w Lozannie. On też przeprowadził rzecz całą aż do końca z gorliwością, w której przyjaźń osobista kojarzyła się z wyższem pojęciem doniosłości tej sprawy. P. Wołowska, w której domu, mama przyjechawszy do Paryża, mieszkała, póki ztamtąd zamąż nie wyszła, dla nas dzieci była *Babunią* nietylko z nazwania, ale i z dobroci, którą przez całe życie nam okazywała. Obiady te niedzielne nadzwyczajne

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
w TARNOWIE

czaj mnie cieszyły, i przyzwyczajonej do skromnego stołu rodziców, ucztą się wydawały. Wieczorem ojciec najczęściej zasiadał do wista z panem i panią Wołowską i jenerałem Gawrońskim, którzy też u nas zbierali się czasem na partyą. Grał w karty dobrze, ale często się zdarzało, że zagadawszy się albo zamyśliwszy o czem, roztargniony zapominał co się święciło, i w rozpacz partnera wprowadzał. Zaczynały się wówczas po partyi głośnie dyskusye i wyrzuty, a my z Władziem przerażeni, chowaliśmy się pod stół, nie pojmując, co mogło być powodem tak nagłego sporu między tak poważnymi ludźmi. Kiedyśmy od pp. Wołowskich powracali do domu, bardzo często zdarzało się, że zamiast coby mnie ojciec wziął na ręce, zbierali mnie do siebie na dni parę pp. Leonowie Faucher, u których kochana, psuta, szczęśliwe dni pędziłam. Tak płynęło życie, jak dla nas dzieci, wesołe.

Edukacyą naszą rozpoczął wówczas niejaki p. Sidorowicz, który nam dawał lekcyę pisania, historyi polskiej i rachunków, ale że zniecierpliwiony naszą swawolą, czasem

dawnej metody się trzymał i linia po palcach nas częstował, nie pozyskał sobie wcale naszej sympatii, i nie zasmuciło nas bynajmniej rozstanie, które wkrótce nastąpiło. Po nim dobry i łagodny p. Niedźwiedzki kaligrafii nas uczył, i przez kilka tygodni miał cierpliwość przygotowywać ze mną powinszowanie, które ojcu miałam wręczyć na imieniny, a które kilkadziesiąt arkuszy papieru kosztowało, zanim się dostatecznie udało. Ojciec często przechodząc przez salę, gdzie te próby niezmordowanie odbywały się, zawsze odwracał głowę, żeby nie zepsuć mojej niespodzianki; a ja z bijącym sercem zakrywając swoją pracę, dziwiłam się, że tak szczęśliwie mi się udało. Ubodło mnie tylko cokolwiek, że ojciec, kiedy mu to powinszowanie, poważnym bardzo stylem ułożone, podałam wreszcie zasunięte w parę pantofli mojej roboty, serdecznie śmiać się zaczął.

Zdaje się, że następnej wiosny mama zachorowała, a mnie oddano w opiekę p. Faucher. Ponieważ nic nie wiedziałam o chorobie matki, a i tak często u p. Faucher przebywałam, nie zasępiło to mojej przy-

jemności, kiedy zawiozła mnie do kąpieli morskich, a następnie do pp. de Tocqueville, z którymi była w przyjaźni, i znowu parę miesięcy swobodnych i szczęśliwych spędziło zepsute dziecko. Powróciliśmy do Paryża ku jesieni, i po raz pierwszy dom rodzicielski uczynił na mnie przykre wrażenie, którego wytłómaczyć sobie nie umiałam. Byłoto może instynktowe poczucie chmury, która nad domem tym zawisała i cień swój długo nań rzucać miała... Ojca, któregom była zostawiła ciemnym brunetem, znalazłam osiwiałego: podczas choroby naszej matki i straszego o nią niepokoju, we trzy dni bujne jego włosy posrebrzyły się. Wówczas też zaczął laskę nosić i smutno mi się zrobiło, widząc mego papę starszym i spoważniałym. Do domu wkradł się bezład, chłód jakiś dla nas dawniej tak pieszczonych, dziś często zostawianych na stronie. Odtąd zaczęło się u nas pojawiać dużo nieznanomych mi osób, dawne kółko przerzedzało się powoli, w domu zapanowała jakaś atmosfera niezwykajna, w której nam dzieciom ciężko i duszno było...

W owych latach urodził się nasz brat Aleksander, któregośmy stracić mieli w kwiecie wieku, i jego kołyska rozweseliła nas gromadząc wkoło nowego braciszka. Na lato wywiózł nas ojciec do St.-Germain. Przeprowadzając nas do kolei, wielki przyjaciel dzieci Henryk Służalski, przyniósł nam na wiejskie gospodarstwo ślicznego białego królika z czerwonymi oczami. Ledwie weszliśmy do najętego nam domku, pierwszym naszym staraniem było wynieść do ogródka nowego gościa zamkniętego w koszyku. Nie domyślaliśmy się, że z tego koszyka wyjdzie dla nas nieszczęście jak z puszki Pandory. Królik bowiem w nocy wymknął się z zamknięcia, i używając swobody, uraczył się trawą zielonego klombu z gazonu, który stanowił główną ozdobę maleńkiego ogródka, czem oburzona gospodyni, 60 franków szkody naliczyła za tę drogocenną trawę. Ojciec musiał zapłacić, ale oburzony taką złą wiarą, zaraz się wyniósł do innego mieszkania. Tam znalazł przyjemnego sąsiada półkownika Bignon, napoleońskiego żołnierza, a dla nas widok jego koni, rozmowy z ordynansem

jego ułanem, były źródłem przyjemności, które nam choć na chwilę powracały wesołość przytępioną sposobem, w który nasza edukacya się odbywała. Przeniesienie się nasze z *rue d'Amsterdam* na Batignolles, *rue du Boulevard* 14, w jaśniejszych przedstawia mi się już kolorach. Mieliliśmy tam domek z ogródkiem, co było dla nas wielkiem szczęściem i zabawą, tak, że zapominając o wszystkich smutnych przejściach, powróciliśmy do dawnego trybu życia. Dom ten, jak dzisiaj pamiętam jeszcze: mieliśmy na dole salon, salę jadalną, mały pokój, gdzieśmy się podczas deszczu lub zimna bawili. Na pierwszym piętrze ojciec miał dwa pokoje, mama jeden z naszym obok. Kuchnia w osobnem przybudowaniu miała dach płaski, stanowiący taras, na który z Władziem częstośmy po drabinie włączili, bośmy gimnastykować oboje lubili i pisać się po dachach i drzewach. Na ten taras wychodziło okno jednego z dwóch pokoiów ojca. Za ozdobę był tu dał właściciel domu, stojący na rogu gipsowy posąg Napoleona, do którego mierzył z karabina stojący po drugiej stronie

dziedzińca, na dachu drwalni, który odpowiedzialni tworzyła pawilionik, szuan bretoński w dużym kapeluszu. I jedna i druga figura pstro pomalowana, choć dość już odrapana, wielkie na nas czyniła wrażenie pókiśmy się nie oswoili z majestatyczną pozą cesarza i złowrogą twarzą Wandejczyka. Przypadek zrządził, że często bywający wówczas u nas Jeżowski, nie wiem jakim sposobem znalazł się posiadaczem dość pięknego orła i tego ojcu przyniósł w podarunku. Nie chcąc odmawiać pocziwcowi, ojciec kazał dla króla ptaków wystawić na owym tarasie, więc tuż za posągami Napoleona, dużą i wysoką klatkę, co ustaliła zaraz w całej dzielnicy przekonanie, że zagorzałym jest bonapartystą. Orzeł tymczasem dla mamy nie był miłym przydatkiem w domu, bo mięsa dużo zjadał, a służące lękały się czyścić jego klatkę, bo drapieżnie się rzucał i do oczu skakał. Raz jednak mały nasz braciszek Jaś, korzystając z nieuwagi bony, wszedł do tej klatki, a dziki ptak jakby uspokojony widokiem dziecka, nie tknął go wcale. Przełęczniona jednak tym wypadkiem matka,

jaknajprędzej orła się pozbyła. W ogrodzie założył się kurnik, i z wielką naszą radością, małeńkie gospodarstwo, składające się z kur i z gołębi, dla których gołębnik się też wystawił domowej fabryki. Ptastwo to tak nas zajmowało, i tyle zawsze miałam ojcu do opowiadania o naszych kurach, z których każdej osobne studyowałam przymioty i życie codzienne, że mi raz ojciec powiedział, żebym spisała te moje postrzeżenia; co też zrobiłam równie poważnym stylem i z takim przejęciem się, jak Liwiusz kreśląc dzieje Rzeczypospolitej Rzymskiej. (Historyczny ten dokument przypisałam dawnej przyjaciółce ojca, a od nas nadzwyczaj też kochanej i szanowanej pani Clustine, której nieraz świeże jaja naszych kur lub kwiaty ogrodu z przyjemnością zanosiliśmy. Jak dla ojca przyjaźń jej od lat już dawnych wielką była pociechą, tak dla nas każda bytność tej matki chrzestnej Władzia powszechną była radością, a wizyta u niej uroczystością, nie tylko dla podarków i łakoci, którymi nas obsypywała, ale także dla nieokreślonego wdzięku, dobroci, cnoty i re-

zygnacyi połączonych razem, które umiała i dzięki Bogu umie jeszcze, wkoło siebie rozlewać. Ojciec znajdował w niej, co rzadko w życiu spotykał, duszę zdolną go ocenić i stanąć na wysokości, do której on się wznosił.

⚡ W ogródku naszym było i drzewko jarzębiny, które sam ojciec zasadził, i gdziekolwiek mieliśmy ogród, zawsze dbał, aby w nim było to drzewo, które Litwę mu przypominało, i którego gorzkie jagody przez przypomnienie też lubił. Sosny przyjąć się nie chciały, niezapominajki wiedły, jedna jarzębina utrzymać się mogła w ciasnym ogrodzie i nam dzieciom też wyobrażała coś ojczystego. Ojciec zaczął znowu brać nas na spacer, czasem bardzo dalekie, najczęściej na grzyby, bo i to przypomnienie litewskiego grzybobrania miłem mu było. Nauczyliśmy się wcześniej rozpoznawać dobre od złych grzybów. Nie raz wracając do domu, obciążeni wiankami dobrych grzybów, spotykaliśmy Francuzów niosących tryumfalnie muchomory, i ojciec długo im perswadować musiał, aby trucizny nie zanosili na obiad do do-

mu; tak mało znają się oni na grzybach, co każdego roku sprowadza przypadki zatrucia. Jesienią ojciec zawsze choć na parę dni jeździł do Fontainebleau, aby zebrać i zamarynować zapas rydzów na zimę, przysmak, który nad wszystko przekładał wraz z litewskimi kołdunami. Inne potrawy polskie też często ukazywały się na naszym stole, pomimo zadziwienia i zgrozy francuskich kucharek. Zwyczaj Kucyi i Święconego ściśle był u nas zachowywany, szczególnie kucya, na którą też przypadały ojca imieniny. Dzień ten u nas najsolenniejszy w roku, w takie mnie wprawiał wzruszenie, że noc całą przepędzałam prawie w gorączce. Rano szliśmy wszyscy razem ojcu winszować, składać nasze życzenia i podarki; później zaczynała się długa procesya przyjaciół i znajomych, która przez dzień cały trwała bez przestanku. Wieczorem, na stole sianem zasłanym, ukazywała się kucya, na nitce spuszczonej u sufitu, wisiała gwiazdka z opłatka i kolebka, które ojciec sam przygotowywał, i przesuwwały się, z wielką nie-raz trudnością pod dozorem mamy spo-

rządzone tradycyjne potrawy. W ostatnich latach, z wielką satysfakcją ojca, znalazła się nawet Żydówka polska, która przychodziła ugotować szczupaka pożydowsku, a na Wielkanoc przynosiła mace, bo ojciec i to znajdował smaczne, i nieraz słyszałam, jak wspominał, że niema na świecie ciasteczek wyborniejszych nad żydowskie obwarzanki nowogródzkie. W każdą kucyą także, wieczorem dawała się nagle słyszeć za drzwiami kołęda: *W żłobie leży, któż pobieży*, której ojciec z widocznym rozrzwinięciem słuchał, półgłosem wtórując ulubionej pieśni, która w nas tyle wspomnień budziła. Byli to przyjaciele i znajomi, którzy zawsze z tą samą, a zawsze miłą występowała niespodzianką. Ojciec dopiero otwierał im drzwi i sam ich śpiewowi przewoźniczył. Wieczór kończył się ponczem, a jak było więcej gości i ożywienia, tańcami i polonezem, w którym ojciec występował, zawsze powtarzając, że to jedyny taniec tak piękny, poważny, dla każdego wieku stosowny. Nieraz przytem wspominał, że w pierwszych czasach emigracyi prowadził czasem w polonezie starą księżnę Wir-

temberską, która od tego tańca nie wymawiała się. Zasypialiśmy z myślą rozmarzoną temi pieśniami, wspomnieniami krajowemi, żałując tylko, że tak niezmierzony przeciąg czasu, rok cały, oddzielał nas od drugiej podobnej uroczystości. W Wielki Piątek wieczorem ojciec zgromadzał nas u siebie, i przeczytawszy Ewangelią, śpiewał z nami Gorzkie Żale. Przy święconem ojciec dzielił się z nami i z gośćmi jajkiem, zamieniając przytem życzenia, których treść zawsze ta sama, głęboko nam utkwiała w pamięci. I cóż dziwnego, że wychowani wśród tych zwyczajów krajowych, nie przyrośliśmy sercem i duszą do miejsca urodzenia, a wyobraźnią i myślą żyliśmy w rodzinnych stronach ojca!

Pierwsze przeczytanie «Pana Tadeusza», gdzie te strony w tak cudnych przedstawiały się kolorach, ogromne na mnie zrobiło wrażenie, nie zatarte żadnym późniejszym poematem. Ojciec też ze wszystkich swoich utworów ten najwięcej lubił, powiedziałabym, prawie ten jeden, podług moich wspomnień dzieciństwa. Kazał mi nawet czasem powtarzać na pamięć opisa-

nie wschodu słońca, i z widoczną słuchał przyjemnością. O innych poematach nie tylko nigdy nie mówił, ale kiedyś kilkakrotnie prosiła o pozwolenie przeczytania «Dziadów», machnąwszy ręką, rzekł jakby do siebie: — E! niektórych rzeczy człowiek byłby lepiej nie pisał!

Na *rue du Boulevard* lekcye niemieckiego, historyi polskiej itp. brać zaczęłam od p. Bońkowskiego, dobrego i zacnego człowieka, którego cierpliwości nieraz nadużywała swawolna uczenica. Wraz ze mną przez czas jakiś brała lekcye najbliższa nasza sąsiadka panna Lelièvre, z której rodziną przyjaźniliśmy się. Brat jej był naszym towarzyszem zabaw i planów podróży, które, naczytawszy się Robinsona i Cooka, bez końca układaliśmy. Niezmierna przejęła nas radość, kiedy na prawdziwą podróż się zebrało, i w lecie 1847 pojechaliliśmy całym taborem do kąpieli morskich do Langrune. Nieznane to jeszcze zupełnie miasteczko rybackie, ojciec wybrał, słysząc, że samotne i tanie; ale wyrachowanie to zawiodło, bo przedstawiając jedynych prawie przybyszów z cywilizo-

wanego świata, wszystko musieliśmy przepłacać, znosząc przytem największe niedostatki i niewygody. Okolica naga, płaska, oprócz wybrzeża morza, żadnego dostarczyć nie mogła spaceru; był to step piaszczysty bez ogromu i poezyi stepu. Ale dla nas wszystko jeszcze niknęło w blasku nowości, a ileż wzruszeń radośnych dostarczała podróż w dyliżansie i koleją żelazną, widoki nowe, wkońcu to morze po raz pierwszy widziane! Pierwszego dnia, w uniesieniu szczęścia, zaczęłam ręce ojca całować i z Władziem nad naszą radością, nad spełnieniem wszelkich naszych marzeń unosić się, kiedy Władzio nagle się odezwał: «jaka szkoda, że trzeba będzie ztąd wyjechać»; a ojciec z pewnym smutkiem rzekł do mamy: «patrz! już i oni muszą myśleć o jutrze». Mieszkanie nasze, wychodzące na główną ulicę miasteczka, — bardzo blisko zresztą od morza, które z wyższego piętra mogliśmy widzieć, — było bardzo niewygodne, tak, jak całe urządzenie gospodarskie, z którem mama niemało miała trudności. Mięsa raz tylko było można dostać na tydzień, po jarzynę

posyłać się musiało do drugiego dość odległego miasteczka, a drobiu za żadne pieniądze przedawać nie chcieli krajowcy. Ojciec na srogiej tym sposobem dyecie trzymany, dowodził, że czasem, widząc kurczęta grzebiące się po dziedzińcach, chciał które z nich ukraść i kryminalnym sposobem zdobyć sobie pieczone. Istotnie, o mało, że czasem nie cierpiało się głodu w tym gościnnym kraju. Ja i Władzio postanowiliśmy w tym ciężkim razie przyjść z pomocą i pracą naszą dom żywić, łowiąc codziennie kraby, rodzaj małych raków morskich. Ale choć i suknie i obuwie padły ofiarą naszych ciągłych wędrówek po skałach, które tylko przy odpływie morza zwiedzać było można, szukając kryjówek krabów, co rzadko suchą nogą udało się zrobić, — mało bardzo w tych nieszczęsnych krabach było do jedzenia, i prędko się sprzykrzyły. Ale nam dzieciom te niedostatki mało czuć się dawały, a swoboda wakacyj, przechadzki nad brzegiem morza, kąpiel i ciągłe szukanie muszli i traw morskich, były dla nas niewyczerpanem źródłem przyjemności. Ojciec nieraz brał nas

z sobą i pokazywał żyjątka i trawy morskie, które sam się bardzo interesował, wykazując subtelne te przejścia między skałą a skorupiakiem, trawą morską a rakiem, które zdają się tak jasno oznaczonymi ogniwami nieprzerwanego łańcucha, wiodącego od najniższego, najbardziej uśpiołego jeszcze, aż do najdoskonalszego i najpełniejszym życiem żyjącego tworu. Niektóre trawy morskie tak doskonale kle-szcze raków naśladują, że pomylić się nie-raz można, jak gdyby natura zawczasu próbowała, przygotowywać kształty mające się nadać stworzeniu, które postawić miała na wyższym szczeblu organizacji. Pomimo naszych wędrówek, życie w Langrune puste i nudne być musiało dla ojca, który żadnego tam nie znalazł znajomego. Wieczorem jedyną rozrywkę stanowił fortepian, który z Caen dla mamy sprowadzono. Nigdy zapewne jeszcze w Langrune nie widziany instrument ogromne sprawił wrażenie, i wieczorami mogliśmy widzieć mieszkańców siedzących tłumnie na progach domów, lub poprostu na ulicy, przysłuchujących się graniu mamy, które

rozlegało się w nocnej ciszy i mogło nawet bardziej muzykalnych słuchaczy zadowolnić.

We wrześniu powróciliśmy do Paryża, ale dla mnie nie nadługo, bo ojciec zdecydował się powierzyć mnie p. Łubieńskiej, która do Poznańskiego jechała, abym tam poznała brata jego Franciszka. Nawpół strwożona i zasmucona rozstaniem się z rodzicami, nawpół zaciekawiona i kontenta, że swoich zobaczę, opuściłam dom rodzicielski na rok jeden, którego opisywać nie będę, gdyż w niczem nie należy do wspomnień o rodzicach.

Powróciłam do Francji w jesieni 1848 r., kiedy wszystko, choć zewsząd gwałtem uciszone, ogniem jeszcze buchało. Ojciec był ożywiony, chwilami nawet wesoły i pełen otuchy. Wróciłam chora na febrę, której częste paroksyzmy wycieńczały mnie. Ojciec widząc mnie cierpiącą, prawie do dawnych pieszczot powrócił: godzinami siedział przy mojem łóżku, starając się uspokoić, kiedy paliła mnie gorączka; na ręku nosił po wschodach, kiedy mi się chciało do innego przejść pokoju, wkońcu

opowiadać znowu zaczął bajki. Pozostało mi ich kilka w pamięci, a jedną z nich ojciec Wschodnią nazwał. Ale choć bawił nas czasem wyjątkami z «Tysiąc i jednej nocy», z tą nigdzie nie spotkałam się później, tak jak z innemi, a że głębszego była znaczenia, może ją dla nas ojciec za-improwizował.

Pewnego podróznego — mówił — zaskoczyła raz na morzu straszna burza. Wkrótce wiatr zerwał żagle, maszty połamał i przekonano się, że nic już nie zdoła uratować okrętu wpędzonego na skały. Wobec niechybnego rozbicia, majtkowie próbowali wpław się dostać do brzegu widniejącego im w dali. Skoczył i Kaled w spienione fale, ale pochwycony nagle wirem podwodnym, ogłuszony, wnet stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, obaczył się leżącym na piasku morskiego wybrzeża. Burza była już ucichła, bałwany, które tak gwałtownie niedawno nim miotaly, ledwie wzdymały teraz modrą powierzchnię wód, ale nie dojrzał nigdzie śladu okrętu, ani nawet jego szczątków. Widocznie otchłań była wszystko pochłoneła, i nikt prócz

niego nie ocalał, lecz ledwie uszedł niebezpieczeństwa, zagrażała mu znowu śmierć straszniejsza jeszcze od tej, którą zginęli jego towarzysze. Sam jeden, bezbronny, nagi, bo odzież zrzucił był z siebie na okręcie, aby nie zawadzała mu w pływaniu, cóż miał począć w tym kraju nieznanym, może niezaludnionym wcale, a może zamieszkałym przez ludożerców? Wtem gdy tak rozpaczliwie dumiał nad swem położeniem, dojrzał w oddaleniu tłum jakiś, idący w jego stronę. Przyczajony za odłamkiem skały, patrzył, jak zbliżali się ku niemu ludzie widocznie nie dzicy.

Barwne mieli ubrania, lśniąca broń, postępowali w ściśle zachowywanym porządku — pośrodku niesiono bogaty palankin. Co najbardziej zadziwiło Kaleda, to że kroczyli wprost ku niemu, jak gdyby wiedzieli, w jakim miejscu się chroni nieszczęśliwy rozbitek. Wreszcie znaleźli się o kilka kroków tylko od niego.

Wówczas wystąpił naprzód jeden z orszaku, niosąc pyszne szaty, a na nich złożoną szablę, jaśniejącą oprawą z drogich kamieni, i przyklękając przed zdumio-

zachcianka jest prawem, i że bez żadnego ograniczenia wszyscy ulegają każdemu jego skinieniu, zaczął rządzić, w niczem już nie krępując rozmaitych swych fantazyj. Nikt nie protestował, choć monarcha we wszystkim własnej tylko szukał przyjemności i zabawy, a poważniejsze sprawy odkładał zawsze na czas późniejszy. Żaden z ministrów nie przekładał mu, że wypadałoby młodemu królowi zasięgać rady starszych i doświadczonych, poznać gruntownie stan swego kraju i potrzeby poddanych. Kaled zaś był przekonany, że mądrością i znajomością wszech rzeczy nikt mu dorównać nie może, a że sztuka panowania ogranicza się na tem, aby jemu samemu było dobrze.

Po kilku miesiącach takiego panowania, a raczej takiego używania, gdy raz w dzień słotny nie chciało mu się ani polować, ani z tarasu pałacowego przypatrywać się obrotom dzielnych swych jeźdźców, ani ucztę wyprawiać, słowem, gdy się nudził i czas, lecący dotąd z szybkością błyskawicy, jakoś mu się dłużył, zastanowił się po raz pierwszy nad dziwną swych losów

nym Kaledem, rzekł najczystsza arabską mową:

— Najjaśniejszy panie, racz przybrać się w oznaki swej godności i pozwolić, aby cię niewolnicy twoi zanieśli do stolicy, gdzie ciebie wygląda lud wierny, do pałacu, gdzie dwór oczekuje swego pana.

Nim Kaled zebrał się na odpowiedź, już zręczne ręce niewolników przyoblekły go w szaty królewskie, i ujrzał się siedzącym w złocistym palankinie, wzniesionym wysoko ponad kornie chylące się wokoło głowy.

Przed bramą miasta stały uszykowane pułki wojska, i wśród oznak radości ludu wprowadzono monarchę do pałacu. Tam ministrowie, wszyscy dostojnicy i urzędnicy państwa kolejno ofiarowali mu swe służby, oprowadzając go po gmachu, w którym znalazł wszystko, o czem tylko mógł kiedy zamarzyć.

Zrazu niedowierzający jeszcze swej własnej potędze, Kaled nieśmiało próbował rozkazywać, ale gdy się przekonał, że istotnie jest władcą owego królestwa, i to władcą absolutnym, że najmniejsza jego

koleją, i jasne pasmo jego myśli zachmu-
rzyła nagle zagadka, której (sam się teraz
temu dziwił) od wstąpienia swego na tron,
nigdy ani razu nie był wziął na uwagę,
umysł wciąż mając zaprzątnięty czem in-
nem. Klasnął więc w dłonie i przybiega-
jącemu niewolnikowi kazał pójść zawołać
starszego wezyra. Po chwili już się stawiał
starzec siwobrody, pokornie chyląc przed
swym panem poważną postać, latami zgar-
bioną.

— Powiedz mi, — zagadnął Kaled —
jakim sposobem się to stało, że w chwili,
kiedy przypadkowe zdarzenie, burza, wy-
rzuciła mnie na wasz ląd, wyście mnie już
oczekiwali i przyszli spotykać? Zkądżeście
wiedzieć mogli o mojem przybyciu? Dla-
czego znalazłem wówczas właśnie tron ten
opróżniony?

— Najjaśniejszy panie, — odpowiedział
wezyr — taki już u nas porządek rzeczy,
że w pewnych odstępach czasu, mniej wię-
cej co rok, powstaje wielka burza i morze
wyrzuca nam tego, który ma nad nami
panować. Gdy więc wichur zwiastuje nam,
że chwila ta nadeszła, idziemy witać

nowego króla i służby mu nasze ofiarować.

— A cóż się dzieje z tym, który wprzód panował? — zapytał zaniepokojony nagle monarcha.

— Mamy prawo odwieczne, najjaśniejszy panie, że przed nowym władcą, dawny ustąpić musi, więc wówczas wsadzamy króla do łódki z tem, co miał na sobie, kiedy do nas przybył, to jest z niczem, bo nagiego zawsze fala do lądu przynosi, i odwozimy go na skalistą i odludną wysepkę, tak oddaloną, że wcale jej ztąd dojrzeć niemożna. Tam poprzednik waszej królewskiej mości, porzucony sam jeden, wielką teraz nędzę znosić musi...

— Dlaczegoż nie ostrzeżono go o tem zawczasu?

— I owszem, ja sam mu zapowiedziałem, co go czeka.

— A czy nie mógł przygotować sobie czego na tej wyspie? — badał dalej Kaled ze wzrastającym niepokojem.

— Nic mu ku temu nie stało na zawadzie, bo rządził tutaj wszechwładnie, tak jak ty dzisiaj, najjaśniejszy panie. Mógł

tam przewieść jakie tylko chciał zapasy i skarby, mógł pałace budować, ogrody zakładać i wyspę tę w rozkoszną zamienić siedzibę, ale...

— Ale? — powtórzył zaniepokojony Kaled.

— Ale wysepka pozostała dotąd pustą i nagą, bo żaden z panujących nie chciał wierzyć, że wkrótce dla niego wybije ostatnia godzina tych rządów, i zawsze łudził się, że na dalekie jakieś tam przygotowania będzie miał aż nadto czasu.

— To chyba ci wszyscy moi poprzednicy byli pozbawieni rozumu! — zawołał monarcha, ruszając ramionami. — Jakże inaczej wytłómaczyć sobie taką lekko-myślność, takie zaślepienie!

— I tyto ich sądzisz? — odpowiedział wezyr głosem, którego potężne brzmienie tak przeraziło Kaleda, że zadrżał cały, i zdało mu się, że mury pałacu się nad nim chwieją. Spojrzał na zuchwałego starca, i osłupiał, widząc zdumiewającą zmianę w obliczu pokornego dotąd sługi. Wyprostował się nagle, odmłodził, twarz jego nieziemską zajaśniała pięknnością — z oczu strzelił płomień jasny a groźny.

— Nazywasz ich szaleńcami, — mówił dalej — a ty czyż nie postępujesz tak samo, ty, który w krótkim życiu ziemskim myślisz tylko o dzisiejszej chwili, o dobrach znikomych i przemijających, a nigdy się nie troszczysz o zabezpieczenie swego losu na tamtym świecie?

I rozplynęła się we mgle świetlanej anielska postać, zniknął pałac królewski, Kaled obudził się ze snu, do którego był go ukołysał ruch okrętu, płynącego bezpiecznie po morzu.

*

*

*

Mieliśmy zwykłe zamięłowanie dzieci do utworów wyobraźni, i ojciec niezmierną sprawiał nam uciechę, kiedy roztaczał przed nami dziwy litewskich baśni ludowych, tak podobnych do wschodnich. — Rozpoczął był nam jedną o dwóch mądrych i trzecim głupim, w której figurował ptak z brylantowemi piórami. Lecz w najciekawszem miejscu, kiedyśmy zawieszeni u ust jego, z bijącym sercem oczekiwali, jakim sposobem nasz bohater się dostanie na kryształową górę, na którą był zaleciał ptak

brylanto-pióry, nagle ktoś przyszedł z jakąś wiadomością gazeciarską, po której wysłuchaniu, ojciec uśmiechając się do nas, rzekł:

— Skończę wam bajkę, ale nie zaraz; poczekajcie, aż Dembiński wejdzie do Wiednia.

Niestety, całując jego rękę z radośną nadzieją, że niedługo nam czekać przyjdzie, pożegnaliśmy perspektywę i dokończenia tej, i opowiadania dalszych bajek, które już, pomimo naszych próśb wszelkich, nie powtórzyły się.

Rodziców za powrotem nie zastałam już w domku na *rue du Boulevard*, ale w drugim, położonym także na Batignolles, *rue de la Santé* 42, daleko obszerniejszym i wygodniejszym od tamtego. I z jednej i z drugiej strony miał ten dom dość obszerny ogródek i był dwupiętrowy. Ojciec miał na pierwszym piętrze dwa pokoje ogrzane kaloryferem, często aż do zbytku, bo drażliwy był bardzo na zimno i nadzwyczaj ciepło lubił, dowodząc, że tylko mieszkańcy północy opatrzyć i ogrzać umieją swoje mieszkania, a im łagodniejsza strefa, tem bardziej w domach zmiany powietrza dotkliwie czuć się dają. Co wie-

czór zbierało się kilka osób, ojciec zawsze fajkę palił na długim cybuchu, a kto tylko przyszedł, cygaro lub papierosa zapalał, i tworzyła się tak gęsta atmosfera dymu, że kiedy przychodziłam nalewać herbatę, nieraz zaczekać przy drzwiach parę chwil musiałam, nim zdołałam rozeznąć, co się w tej mgle działo.

Z dawnych znajomych ulubionym był i częstym bardzo gościem Henryk Służalski. Ożywienie jego, niezmordowany dobry humor i prawdziwie szlachecka werwa rozweselały ojca, opowiadania przypominały litewskie pogadanki. Typowa ta postać wysoka, barczysta, herkulesowej siły, z wygoloną głową i długimi wąsami, (choć, jak mawiał, do niczego były wąsy, co się za uszami zakręcić nie dały) zdawała się żywcem wyjętą z pamiętników Paska. Zawsze wesół i pełen energii, biedy i ciężkie nieraz przejścia tak wytrwale i ochoczo znosić umiał, jak gdyby lekko przesuwali się w dali, nie zostawiając żadnego po sobie śladu. Miał on dość wysokie stanowisko przy kolei żelaznej, gdzie był pozyskał przyjaźń i zaufanie naczeln-

ków. Zamierzywszy wyjechać do Włoch, opuścił tę posadę, a kiedy potem wrócił do Paryża i do wrót dawnej swojej administracyi zapukał, miejsce jego już dawno było przez kogo innego zajęte.

— Ostrzegaliśmy pana, — odpowiedział życzliwy mu zresztą bardzo dyrektor p. Pereire — że stanowisko raz stracone nie da się odzyskać. Dzisiaj wszystkie posady zajęte, a pozostałoby chyba zatrudnienie tak podrzędne, że i proponować go panu nie mogę.

— Ja na wszystko się zgodzę, — odrzekł Służalski — byle tylko pracować i nikomu nie być ciężarem.

Został więc *cantonier*'em przy kolei żelaznej, to jest mieszkał w małej budce w lesie S-t Germain, i za nadejściem każdego pociągu musiał, stanawszy z wyciągniętą ręką, wskazywać, że droga wolna i bezpiecznie przejechać można. Na stanowisku tak nędznem, można prawie powiedzieć upokarzającym, w tem pustkowiu, nietylko zachować umiał zwykłą energią i wesołość, ale stworzył sobie rozmaite zajęcia, stawiając sidła na ptaki lub polując

na króliki z psem, który pełno miał nadzwyczajnych zalet. Niewyczerpana jego fantazyja i tutaj znalazła tematy do przygód i opowiadań. Niedługo zresztą to wygnanie trwało, i z wolna przechodząc szczeble administracyjne, do dawnego stanowiska się zbliżył.

Gdyby kto był mógł żywcem pochwycić które z jego opowiadań, miałby ciekawą pogadankę szlachecką w rodzaju Pamiętników Paska, choć wypadki polityczne mniejszą grały tam rolę niż polowania i osobiste przygody. Człowiek ten bowiem przechodził nieraz najdziwniejsze koleje, narażając niekiedy nawet życie, lecz przytem nigdy nie pomijając sposobności, żeby się zabawić z przyjaciółmi, damom uszanowanie złożyć, a zauważać i zapamiętać wszczęgółności zalety każdego psa i konia. Między Francuzami, kolegami w administracyi kolei żelaznej i podwładnymi, bardzo był lubiony i w zabawny czasem sposób starał się przed nimi honor polski podtrzymywać. Kiedy dziwili się nad jego ogromnym wzrostem i siłą, odpowiadał zawsze skromnie:

— Ja w swoim kraju obok innych zawsze za bardzo wątłego i słabego uchodziłem.

Przejmowało to Francuzów niezmiernem zadziwieniem.

Ponieważ nazywał siebie zawsze ukraińskim Kozakiem, a Francuzom to nazwanie przedstawia tylko nawpół dzikie hordy, które w Paryżu koczowały podczas wkroczenia wojsk sprzymierzonych, jeden ze znajomych go zapytał:

— Kiedy pan jesteś Kozakiem, to może pan jadasz łojówki, jak ci, co u nas byli w 1814?

Na co Służalski odpowiedział z niezmierną powagą:

— Ja, panie, liczę się do ucywilizowanych Kozaków, jadam tylko stearynowe świece.

Zajęciem jego u nas było, jak zawsze mawiał, temperować ojcu pióra, które doskonale przypadają do ręki, dostarczać szczególniejszych haczyków do czyszczenia fajki, a na święcone śliczne lepić baranki z masła z kręconą wełną. Dla nas dzieci miał zawsze podarunczki: ptaszki i kwiaty,

a dla maleńkich nawet panienek rycerskie atencye.

Pierwszy raz od niego dowiedziałam się, dostając na imieniny śliczną białą różę, że to kwiat nasz herbowy, że Poraj ma białą różę w czerwonym polu, co później odnalazłam i w «Panu Tadeuszu». Czasem sprawiał nam też wielką przyjemność, grając wieczorem na drumli. Wówczas gasiły się świece i w czarnej pomroce odzywały się dzikie, oryginalne tony cygańskiej tej muzyki, której ojciec lubił słuchać. Podczas karnawału, w chwilach dobrego humoru, występował Służalski z kozakiem, którego tańczył znakomicie, ze wszystkimi kozackimi sztukami i prysiudami, a niezmierną naszą admiracją. Trzeba było jego wesołości, aby w tym ciężkim 1849 r. rozjaśniać tak czarny zewsząd horyzont i smutny często humor ojca.

Ojciec pracował nad dziennikiem «*la Tribune des Peuples*», ciężkie to i niepewne zajęcie wkrótce ustało. *Collège de France* już było dla ojca zamknięte. Nastaly czasy tak ciężkie, że jedna po drugiej wszystkie kosztowności domu poszły na zastaw. Choć

się to nieraz działo w naszych oczach, nie turbowaliśmy się tem wcale, bo najprzód nie rozumieliśmy całej okropności położenia, a potem nie wzrosliśmy, jak to zwykle dziś się dzieje, w poszanowaniu i uwielbieniu pieniądza. Uważaliśmy to za coś podrzędnego, i brak takowego nie miał jeszcze dla nas znaczenia. Powoli to przesilenie finansowe minęło, i choć położenie zawsze trudnem było, droższe sprzęty znowu do domu powróciły.

Władzio chodził do szkoły, ja w domu uczyłam się i dopomagałam mamie w gospodarstwie, a szczególnie w szyciu z młodszą siostrą Helenką. W liczbie ulubionych nam dzieciom znajomych, zawitała wówczas pani Quinet, dobra, zacna i miła żona słynnego profesora, która zjednała sobie nasze przywiązanie tkliwem zainteresowaniem się, którego szczerłość dzieci uczuć umieją. Częstsze też wówczas zawiązały się stosunki z Micheletem i jego córką panią Duménil. We czwartki wieczorem często u nas się zbierano, mama grywała już to sama, już z akompaniamentem i dawał się słyszeć piękny głos p. Duménil.

Ojciec muzykę tak lubił, że sam nawet parę kawałków ułożył, jak pamiętam, do wierszy Horacego, zaczynających się od słów: *Ibis Liburnis*, i do piosnki ludowej: «Szedł szlachcic do piekła gościńcem bitym», — choć sam nie grywał wcale, a śpiewem nie było można nazwać tego, co sobie czasem półgłosem nucił. Lubił też bardzo, aby mu śpiewano chór Aniołów z «Dziadów»:

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami gwiazdami twarz mu oświecmy,
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

Chór ten ojciec układał na nutę Hajdna do hymnu narodowego angielskiego: *God save the Queen*. Ulubionymi jego autorami byli Haydn, Beethoven, a szczególnie Mozart, którego «Don Żuana» i «Flet Czarnoksięski» nad wszystko przekładał; szkołę włoską mniej cenił. Za czasów *Collège de France*, kiedy miał przygotowywać prelekcję, najczęściej w wilią wieczorem przechadzał się po salonie, a mama grywała mu Mozarta godzinami całemi. Notat nie

robił nigdy żadnych, i nazajutrz rano wychodził z prelekcyą gotową. Muzyka klasyczna zawsze mi przypomina zachwycenie, z którem ulubionych swoich autorów ojciec słuchał, i niektóre utwory wielkich mistrzów, zarówno z piosenkami niańki, wykołysały dziecinne nasze lata.

Bywały też czasem u nas i *tria*. Na basetli grywał Stefan Zan, brat przyjaciela ojca, Tomasza Zana, na skrzypcach, to p. Tropiański, to młody jeden Francuz. Wieczorki te, bardzo proste, na których przyjęcie składało się tylko z herbaty i ciasteczek, wesołe zawsze bywały iżywione. Z odległych stron miasta schodzili się znajomi do naszego dalekiego zakątka.

Miedzy często bywającymi odznaczał się zabawnemi oryginalnościami Franciszek Grzymała, znany autor i dawny redaktor *Astrei*. Choć stary już człowiek (bo kiedy ojciec, w uniwersytecie jeszcze będąc, pierwsze swoje poezye wydał, pan Grzymała, zasłużony już literat i profesor, zgóry młodzińcze te próby sądził), wielkie miał jeszcze pretensye do młodości i podobania się; a że przy podeszłych latach był ma-

leńki, pękaty, z ospowatą i nadzwyczaj brzydką twarzą i przez nos mówił, śmieszny ten kontrast każdego uderzać musiał.

Kiedy czasem nadto się już naprzykrzył damom komplementami i czytaniem swoich poezyj, które zawsze w kieszeni nosił i przy każdej sposobności, lub bez sposobności nawet, czytywał:

— Panie Franciszku, — odzywał się ojciec — czytałem, że jakiś Grzymała był posłem na wielkim sejmie; czyto czasem nie o tobie mowa?

Albo:

— Pod Austerlitz Grzymała świetnie się odznaczył, armaty austriackie zagwoździł: może i wojskowo służyłeś?

Wówczas biedny Grzymała zmieszany, czerwony i gniewny, chwycił ojca za rękę i perswadującym a błagalnym tonem mówił:

— Ależ, panie Adamie! zmiłuj się! czyż można? przecież są damy.

I obawa kompromitacyi zagłuszała miłość własną poety. Niewinne to prześladowanie było jedynem, którego ojciec czasem pozwalał sobie, zawsze dla wszystkich pobłażliwy, wyrozumiały, złośliwości nie

cierpiał, i nam najniewinniejszych nawet żartów zabraniał, skoro tylko chodziło o wzięcie kogo na fundusz.

A jednak trudno było czasem wstrzymać się nam od śmiechu, kiedy Grzymała przybierał pretensjonalne pozy lub stojąc na piedestale literackiej swej wielkości, chciał nią ojcu imponować. Sama słyszałam w Arsenale, jak podczas jakiejś dyskusyi, w której różnego byli zdania przerwał cały zaperzony ojcu, mówiąc:

— Jużto, co do literatury, panie Adamie, przyznasz, że ja się cokolwiek lepiej znam na tem. Pięknie piszesz, niema co mówić, ale pan Adam w poezyi śpiewasz jak czyżyk, a ja?! ja jestem słowik!

Obok Grzymały odznaczał się wysoką postawą, zawsze marsowatą miną i zaniebdaniem w ubiorze B., na którego wyprostowany zawsze wojskowo Służalski krzywo patrzył. Darować mu bowiem nie mógł, że gdy go kiedyś we Włoszech uczył mustry, a mając przed sobą, jak zwykle stojącego w zaniebdanem ubraniu, skrzywionego i pochylonego, więc prostować go zaczął, — ten zawołał poważnie:

— Bracie, dla miłości Boga i tak dobrze!

Ile razy opowiadał tę scenę Służalski, drżał cały z oburzenia na taki wynik towarzyszenia. /

Chodziłam wówczas na parafialne wykłady lekcji katechizmu, z których ojcu zdawałam często sprawę. Zacytowany tam przez księdza fakt jeden z życia św. Elżbiety, królowej portugalskiej, przypomniał ojcu dziwny obraz, który oglądał przed laty w jakiejś kapliczce w Szwajcaryi.

Stare to malowidło przedstawiało średniowieczną damę na koniu, a raczej cień kobiecy unoszący się w powietrzu nad opróżnionem już siodłem. Jakby zwalczony tem zjawiskiem szatan czarny i rogaty, tuż przed koniem zapadał się w ziemię, wśród buchających z jej głębi płomieni. Nieco dalej stojący rycerz, rozpaczliwym ruchem podnosił ręce w górę, wokoło snuły się postacie ludzi zbrojnych uciekających. Zagadkowa ta kompozycja taką objaśniała się legiendą:

Mieszkał kiedyś w tej okolicy hrabia Walter, pan możny i bogaty. Słyszeła

wszędzie z piękności młoda jego żona, ale bardziej jeszcze podziwiano niezwykle jej cnoty i pobożność, a męża jej mianowano najszczęśliwszym z ludzi. Ale niedługo szczęście to trwało.

Wkrótce przyjechał w te strony rycerz, którego nikt nie znał, i który nikomu nazwiska ani pochodzenia swego nie chciał wyjawiać, mówiąc, że *votum* mu tego wzbrania do pewnego czasu. Takie śluby były w średnich wiekach rzeczą częstą; nie dziwiono się więc temu, a przybysza przezwano czarnym rycerzem, gdyż innej barwy nie nosił, i niemniej chętnie przyjmowano, domyślając się, że wysokiego musiał być rodu, po dostatkach, któremi hojnie szafował. Zamieszkawszy w bliskim mieście, dom urządził z niewidzianym dotąd u tamtejszych magnatów przepychem, i spraszać zaczął szlachtę okoliczną, a więc i męża pięknej Aldy. Dzień w dzień huczne bywały u niego zabawy, a na pierwszym zawsze miejscu gra szalona. Powoli i Walter dał się uwikłać w zastawione na niego sieci, i wśród gwaru uczt i rozrywek, które go odrywały od żony i domu, z każdym

dnem gwałtowniej się w nim rozwijała namiętność do gry, podsycana ciągle szczęściem. Nieraz całą noc spędziwszy u czarnego rycerza, o świcie dopiero obładowany złotem, upojony powodzeniem, powracał do swego zamku, obojętny na niepokój i cichy smutek tej, która go tam oczekiwała.

Pewnego wieczoru jednak zaczął przegrywać. Czarny rycerz był jego przeciwnikiem i raz wraz zgarniał jego stawkę z obojętnym i szyderskim uśmiechem, który powiększał zaciekłość Waltera. Goście się rozeszli, samnasam pozostali jeszcze gracze, bo hrabia koniecznie chciał się odegrać, i ufał, że szansa się zmieni. Gdy pieniędzy już nie stało, postawił łańcuch swój złoty, broń, psy, konie, srebro i klejnoty, wreszcie ziemię i zamek swój dziedziczny. Oślepiiony, roznamiętniony, umilkł dopiero wtedy, kiedy już mu nic do przegrania nie pozostało.

Wówczas czarny rycerz, zawsze spokojny i uśmiechnięty, uprzejmie odezwał się do zrujnowanego gościa, że ofiaruje mu wszystkie dotąd rozegrane partye pu-

ścić w niepamięć, byle zgodził się zagrać jeszcze jedną ostatnią, w której na stawkę postawi... hrabinę. Wygrywając, hrabia nic nie utraci z mienia swego, przegrywając, rycerzowi oddawał tylko Aldeę.

Straszną musiała być namiętność Waltera, strasznym też wpływ szyderskiego spojrzenia, które na nim ciążyło, kiedy na ten haniebny targ skinieniem głowy przyzwolił. Los jeszcze raz go zawiódł, a gdy zechciał nędznie opierać się i wzbraniać, bełkocząc, że przecież to rzecz niemożliwa, chociażby tylko dla rodziny... dla świata... kusiciel odpowiedział, że o honor jego dbały jak on sam, tak się urządzi, aby nikt o niczem nie wiedział, ani mógł się dowiedzieć. Hrabia miał na-
zajutrz rano namówić żonę na spacer konny i jednego tylko pazia wziąć z sobą. W lesie, tam gdzie od pięciu dębów pięć dróg się rozchodzi, przygotowaną na nich będzie zasadzka — póczet zbrojnych ludzi napadnie na nich i porwie hrabinę, — paż poświadczy obronę, że męża zważyła zbyt przeważna siła, a świat współczuciem otoczy pokrzywdzonego i da-

remnie poszukiwać z nim będzie sprawców gwałtu.

I odjechał Walter do zamku, którego za taką cenę pozostawiono go panem, i rano wyruszył konno z żoną do lasu, za nimi podążał najmłodszy z ich paziów, mały chłopaczek.

Droga prowadziła wzdłuż wiejskiego kościołka. Alda wstrzymała konia przed kruchołą, mówiąc mężowi, że wejdzie się pomodlić. On nie mógł oprzeć się jej żądaniu, ale sam nie śmiał, pełen tak grzesznych myśli i zamiarów, wejść do domu Bożego, i wymawiając się bolem głowy, prosząc żony, aby nie dała mu długo czekać, pozostał na dziedzińcu.

Wkrótce też wyszła hrabina z kościoła, z niezwykle wyrazem powagi i zadumy na bladej twarzy, — mąż chciał jej pomóc wsiąść na wierzchowca, ale nie mówiąc mu ani słowa, uniosła się tak szybko i lekko, że znalazła się na siodle, zanim poczuł dotknięcie jej stopy.

Jechali milcząco przez las.

Gdy na zakręcie drogi ukazało się pięć ogromnych dębów, Alda spojrzała na

chmurnego męża, a w jej wzroku tyle było żalu i wyrzutów, że hrabia zadrżał cały i już chciał ją wstrzymać, zawrócić, uciekać z nią razem... ale podczas tej krótkiej chwili wahania, wyskoczyła zpoza drzew cała zgraja ludzi zbrojnych, zamaskowanych. Kilku z nich rzuciło się na Waltera, krępując jego ruchy, a czarny rycerz równie zamaskowany, poskoczył ku Aldzie i chwycił za cugle jej konia. Ale zaledwie spojrzał na nią, wydał straszliwy, nieludzki okrzyk przerażenia. Maskę spadła mu z twarzy, odkrywając szatańskie oblicze wykrzywione bezsilną furią, — runął o ziemię i miotając rogatą głową, gryzł piasek i zgrzytał zębami, aż buchnęły wokoło niego płomienie, wśród których zapadł się w ziemię. Odrętwiały z przestachu Walter spostrzegł wówczas, że i żona jego dziwnej uległa zmianie.

Wznosiła się powoli w górę, jakby niewidzialną ciągniona siłą, a zarazem stawała się coraz bledszą, coraz bardziej wiotką i powiewną, przez chwilę widział ją jeszcze przezroczystą jak obłoczek, nareszcie całkiem rozplynęła się w powietrzu.

Hrabia znalazł się sam jeden — napaśtnicy byli zniknęli, paż uciekł, — gdyby nie wierzchowiec Aldy, byłby mógł pomyśleć, że wszystko, co się stało przed chwilą, snem tylko było złowrogim. Ale z poczuciem nieubłagalnej rzeczywistości obudził się nareszcie w Walterze głos sumienia. Wpływ nieczysty, pod którym dotąd pozostawał, a który go oślepiał, rozviał się tak nagle, jak była zniknęła anielska istota, którą Bóg odebrał niegodnemu mężowi. Miotany żalem i wstydem, boleścią i skrucą przejęty, zapragnął przedewszystkiem pomodlić się tam, gdzie ona niedawno modliła się, błagać o przebaczenie, najostrzejszą zadając sobie pokutę.

Pośpieszył więc nazad do kościoła. Gdy wszedł tam ze schylonem czołem nieszczęsny winowajca, pusto było zupełnie po skończonem nabożeństwie. Przed ołtarzem klęczała tylko pogrążona w modlitwie kobieta z ubrania i postaci tak podobna do Aldy, że Walter zatrzęsł się cały, niedowierzając swym oczom. Na odgłos jego kroków, kobieta odwróciła głowę i hrabia

ujrzał znowu tę śliczną twarz, której myślał, że już nie zobaczy na ziemi. Padł na kolana, niewiedząc już co się z nim dzieje, lecz widząc, że żona podniosła się i odchodzi, powstał i poszedł za nią, lękając się, aby znów się nie rozwiął cień jej marny. Gdy stanęli na dziedzińcu, drżący chwycił ją za rękę, ale dłoń ciepła i miękka serdecznym odpowiedziała mu uściskiem, a słodki głos zaczął go przeproszać, że choremu mężowi tak długo Alda dała czekać. Ale musiała dotrzymać obietnicy uczynionej matce na łożu śmierci. Ta mając szczególniejsze nabożeństwo do Anioła Stróża, pod jego opiekę oddawała dziecko, które pozostawiała sierotą, i żądała, aby córka dała jej słowo, że ilekroć przejdzie przed kościołem, wejdzie pomodlić się do swego opiekuna, a jeżeli mszę zastanie, wysłucha tej zawsze aż do końca. Tutaj zaś jedna msza kończyła się właśnie, kiedy druga zaczynała, a potem przy modlitwie zapomniało się o czasie i godzinie.

Teraz dopiero Walter zrozumiał kim był ten, który przybierając na siebie postać Aldy, był ją uratował od szatańskiej za-

sadzki, a jego od zbrodni i rozpacz. Skru-
cha jego była tak wielką, że upokorzył
się nietylko w konfesyonale, ale wobec
żony, wyznając jej, jak ciężko i haniebnie
przeciw niej zawinił.

Legiendy powiada, że Alda przebaczyła
mężowi, i że oboje małżonkowie fundując
kaplicę na pamiętnem im miejscu, kazali
wymalować obraz, mający przekazać po-
tomności widoczny ten dowód opieki
Anioła Stróża.

*

*

*

W tych czasach odbyłam pierwszą ko-
munia. Piękny ten dzień, błogosławieństwo
ojca i matki dotąd mi świeci jasno. Wi-
dząc mnie w białem ubraniu, pewnie nie
przewidzieli oboje, że kiedy drugi raz na
ślub białą suknię włożę, nie będzie już
komu pobłogosławić podwójnej sierocie!

Odtąd zaczęłam używać niektórych przy-
wilejów dorastającej dziewczyny: wieczór
cały u ojca przesiadywać, słuchając ga-
wędki, tłumaczyć czasem dla niego na
francuskie, ustępy, których potrzebował,

listy dla mamy pisywać. Lekcyje polskiego języka ojciec sam mi dawał, lekcyje te na tem najwięcej zależały, że egzaminował mnie z tego, com czytała, wypracowania moje kazał sobie odczytywać i uwagi mnie swoje robił. Trudność władania z wszelką swobodą językiem, którym wokoło nas oprócz rodziców nikt nie mówił, czuł dobrze i był na to wyrozumiały; ale nieraz, słysząc nas mówiących, wzdychał, że mamy akcent bezbarwny, cudzoziemski. On byłby chciał słyszeć w naszych ustach tę mowę śpiewną, litewską, która nadewszystko była mu miłą.

Przy tych lekcyach nieraz dla zachęty opowiedział mi to jaką szlachecką przygodę, to którą z anegdot o księciu Radziwille Panie Kochanku, to znowu coś z innych podań na Litwie zasłyszanych. Niektóre z tych opowiadań głęboko mi w pamięci utkwily, więc ci je tu przytoczę:

Było to na Litwie. Zwiedzał raz tam ojciec ruiny dawnego zamku i zauważył przed szczątkami starych murów, z których nic prawie nie pozostało, symetry-

cznie ustawione obok siebie pagórki: jeden większy, cztery mniejsze, a dwa jeszcze mniejsze, widocznie ręką ludzką usypane. Oto jak mu wytłómaczono co miały oznaczać.

Przed laty mieszkał na tym zamku kasztelan, pan możny i dumny, który się był oddawna już pokłócił z sąsiadem, magnatem, wielkiego też majątku i nieugiętej dumy. Nieporozumienie to, podsycane coraz to nowemi zajściami, wywołało między nimi jawną, zażartą nienawiść. Pewnego wieczora, gdy burza wściekle szalała na dworze, wichur łamał drzewa, a raz wraz były pioruny, kasztelan siedział przy wieczerzy, otoczony swym dworem. Wtem ozwała się trąbka przy moście zwodzonym i zdziwiony sługa wbiegł oznajmić swemu panu, że wojewoda, w powrocie z łowów burzą zaskoczony i zgubiwszy w lesie drogę, zajechał do zamku w gościnę. Po chwili zjawił się na progu sali sam dostojny gość, w towarzystwie jednego tylko dworzanina. Kasztelan pośpieszył na jego spotkanie z wszelką należną atencją, witając go i sadzając przy stole. Trakta-

ment też zaraz kazał wyprawić jak przystało. Wojewoda składał mu dank w układowych wyrazach, ale choć wysilali się wzajemnie na grzeczności, tak znienacka wobec siebie postawieni nieprzyjaciele, nie mogli utaić drgającej w głosach, wyglądającej z oczu nienawiści. Wkrótce nieznacznie docinać sobie zaczęli. Każde słowo rozjastrzało dawne urazy, a dworzanie, podzielający uczucia swych panów i patrzący na coraz chmurniejsze ich oblicza, z trudnością też tamowali objawy niechęci i gniewu. Wreszcie wieczerza się skończyła — burza ucihła. Wówczas wojewoda, który nie był pozwolił, pomimo nalegań kasztelana, wyprzeżyć swych koni, powstał od stołu i uniesiony pożerając go, a tak długo tłumioną nienawiścią, zamiast dziękować gospodarzowi za gościnność, rzucił na stół woreczek pełen dukatów, mówiąc:

— Dla służby!

— Cóżto? — krzyknął kasztelan, przyskakując do niego i chwytając za karabelę — czy dom mój bierzesz za karczę?

— Tłómaczyć się nie myślę! — odrzekł

hardo wojewoda, wciskając czapkę na głowę, i dobył szabli.

Wówczas zaślepiony pasyą kasztelan rzucił się na wroga — za nim dwór cały. W mgnieniu oka rozsiekano wojewodę i dworzanina, który go bronił, a potem, chcąc zatrzeć ślad tak strasznej zbrodni, nie tylko trupy wnet zagrzebano, ale zakopano też z niemi w ziemi karete i ztąd ten duży pagórek, cztery konie tam, gdzie te mniejsze się wznoszą, a pod temi małeńkimi — dwa ulubione charty wojewody. Tajemnica głęboka pokryła całą tę krwawą sprawę i nikt w okolicy się nie dowiedział, gdzie się zadział wojewoda tej burzliwej nocy.

Rok upłynął. Za stołem zasiadł wieczorem kasztelan ze swymi dworzanami, gdy nagle zerwała się burza tak podobna do przeszłorocznej, że wszystkich ogarnęła obawa. Nawałnica wzmagала się i potężniała, w miarę jak się zbliżała pamiętna godzina. Wkrótce i trąbka odezwała się, a blady od przerażenia sługa wbiegł do sali, oznajmiając trzęsącym się z przestachu głosem, że w tej samej karecie, z tym

samym dworzaninem zajechał znów wojewoda. Oslupiałym świadkom i współnikom morderstwa ukazała się istotnie znowu ta sama wysoka, dumna postać i, witając drżącego gospodarza, przy nim zasiadła. Zmartwieli ze strachu pozostali wszyscy przy stole — grobowe milczenie zaleгло salę. Gdy wreszcie burza ucichła, wojewoda powstał, wyzywającym ruchem woreczek złota na stół rzucił i zniknął. Wówczas wyrzuty sumienia, tłumione dotąd zaciętym uporem, złamały dumę kasztelana. Ledwie świtać zaczęło, już w pobliskim kościele leżał krzyżem i przy spowiedzi zbrodnię swą wyznawał, błagając kapłana, aby dom jego uwolnił od straszliwego widma. Ale spowiednik nazначył mu pokutę, która utrwalić miała pamięć jego występku. Nakazał bowiem, aby co rok zastawiano kolacją wieczorem w sali, w której popełnionem zostało morderstwo i pan domu noc tam przepędzał na modlitwie za zmarłych, z pokorą przyjmując złoto, które niewidzialna ręka na stół ciskała i które miał obrócić na dobre uczynki. Po jego zaś śmierci obowiązek

ten miał przejść na jego następców i póki stał zamek, zachowywano w nim tę smutną spuściznę dawnych czasów.

* * *

Inną razą, gdy rozmawiano o wróżbach, ojciec opowiedział następny wypadek, tylko nie mogę przypomnieć sobie w jakiejto rodzinie litewskiej on się wydarzył. Może u Niesiołowskich, ale nie jestem tego pewna.

Miał ów pan czterech młodych i dorosłych synów. Pewnego dnia, oglądając las, który wycinać miano, zauważył cztery młode, piękne dęby blisko siebie rosnące i stojące nauboczu.

— To jak moje chłopaki: — powiedział do gajowego — niech mi tych dębów nikt nie waży się ruszać, żeby rosły z nimi razem — i zaraz każde z drzew nazna-
czył imieniem jednego z synów.

Po kilku latach jeden z paniczów umarł i dąb jego usechł — dąb drugi schnąć zaczął, umarł brat drugi. Pozostali dwaj bracia zwracali już niespokojną uwagę na

pozostałe drzewa. Raz jadąc wesoło z przyjaciółmi na polowanie, przejechał trzeci obok swego dębu i śmiejąc się wskazał towarzyszom wędniejące gałęzie.

— Pomyliłeś się kochanku, — zawołał — zabierając się usychać, kiedy ja czuję się tak zdrowym jak nigdy!

Tegoż dnia zginął piękny młodzieniec od przypadkowego strzału na polowaniu.

Kiedy ostatni brat zachorował, bardzo niepokoił się o stan swego dębu i posłał umyślnie obejrzeć jak wygląda. Przeraził się leśnik widząc żółkniejącą już koronę drzewa, ale pana zapewnił, że dąb zdrowy i wspaniały.

Niebawem jednak pan życia dokonał i ostatni dąb uschnął.

*

*

*

Rok 1850 odznaczyły dla nas dwa ważne wypadki: przyjazd naszej ciotki Zofii i twoje na świat przyjście, kochany Józiu. Ciotkę, którą poznaliśmy wówczas, można powiedzieć, że mama także pierwszy raz w życiu widziała, bo zostawiła w kraju

małem dzieckiem tę przyrodną siostrę swoją, która teraz zjawiała się w pełni młodości. Wdzięk jej i rozum wszystkich w domu dla niej zniewolił, a ja przywiązałam się do niej nadzwyczajnie, czem zapewne zjednałam sobie szczególniejsze też jej zainteresowanie się i dobroć, z którą mnie już prawie za towarzyszkę uważać zaczęła. Przybycie jej bardzo dom ożywiło, a znakomity talent muzyczny wieczorkom naszym wiele dodał uroku. Służalski z szumniejszymi niż kiedykolwiek występował frazesami i czołobitnością dla dam, a na rocznicę ślubu rodziców, która przypadała 22 lipca, urządził im niespodziankę w dawnym stylu, przy gorliwej naszej pomocy a wyrozumiałości osób interesowanych, które nic nie widziały, ani widzieć chciały.

W ogrodzie całym zawieszonym girlandami, nad którymi przez całą poprzednią noc pracowaliśmy, zajaśniała świetna iluminacja za pomocą latarek papierowych; przed altanką transparent, roboty Służalskiego i jego przyjaciela malarza, ukazywał cyfry rodziców powiązane wieńcami z róż; Władzio wystąpił z oracyą; Helenka

z parą gołąbków białych z różowemi wstążeczkami na szyi; ja tylko w białej sukience, młodsze dzieci przyprowadzając rodzicom, co wszystko w naszym mniemaniu równie rozrzewniająco jak wspaniale wyglądało. Chóry amatorów, ukryte za drzewami, dopełniały przedstawienia, które jednak nie całkiem zadowolniło naszego *impresario*, bo Władziowi z wielkiego wzruszenia pamięć nie dopisała, a gołąbki śmiech wielki wywołały; ale jednak bohaterowie uroczystości niezaprzeczenie byli radzi, i bardzo wesoło wstawali przy herbacie i kolacyi. Ten solenny zakończyła.

W kilka miesięcy po przyjeździe ciotki, jednego dnia rano zobaczyliśmy wchodzącego ojca, z oznajmieniem nam o przybyciu na świat nowego braciszka, którym właśnie byłeś ty, Józiu. Przyjęliśmy cię z entuzjazmem, nawpół jako brata, nawpół jako zabawkę. Do chrztu trzymała cię ciotka z zacnym przyjacielem ojca Karolem Sienkiewiczem. Do imion Józefa i Gabryela, którego wybrano jako anioła stróża, ojciec dodał imię Rufina, a gdym

się temu ostatniemu dziwiła, pamiętam, jak mi ojciec wytłómaczył, że zawsze każdemu z nas dodawał miano patrona, w którego święto urodziliśmy się. Chrzest twój, braciszku, był nam, niestety, ostatnią wesołą uroczystością kościelną.

W parę miesięcy po twojem urodzeniu, opuściliśmy Batignolles, aby przenieść się w okolice Luksemburga, przy *rue de l'Ouest* Nr. 44, w czym niektórzy upatrywali wróżbę jakas, wspominając ową liczbę tajemniczą widzenia księdza Piotra w «Dziadach». Ale wcale się horoskop nie spełnił, gdyż w mieszkaniu tem nic ważnego nie zaszło. Wprowadzenie nasze tylko było dość oryginalne, powodu skąpego i nieznosnego gospodarza, który, znanym zresztą paryskim obyczajem, mamie przy wynajęciu oświadczył, że dzieci, psów i kotów nie znosi. Wobec tego *dictum acerbum*, widząc mieszkanie wygodne i niedrogie, nie śmiała biedna mama przyznać się do nas sześciorga, i późno wieczorem, jak kontrabandę, jedno dziecko po drugim przesunęła, a naza jutrz rano już się jego cerberowska mość jakkolwiek pogodziła *avec le fait accompli*.

Parterowe pokoje wychodziły na ogródek domu, który miał także tę przyjemną stronę, że brama jego wprost naprzeciwko ogrodu Luksemburskiego znajdowała się. Na pierwszym piętrze sypialnie się mieściły i ojciec miał swoje dwa pokoiki z ulubionym piecem. Brat nasz Władzio, jeszcze podczas naszego pobytu w Batignolles, został przyjęty do zakładu S-te Barbe; Oleś do początkowej uczęszczał szkółki; ja z Helenką uczyliśmy się w domu. Lekcje arytmetyki zaczął nam dawać wieczorami, aby i chłopcy udział w nich brać mogli, p. Korylski, należący do najciekawszych typów emigracyi, w której wybitnych nie brakło. Głęboka wiedza i wielki hart duszy łączyły się u niego z dziecinną niemal naiwnością i dziwaczniemi pomyśłami.

Nazywał się właściwie Korycki, ale w pierwszej młodości pokrzywdzony w interesach majątkowych przez stryja, za całą zemstę oświadczył, że nadal nosić nie będzie jego nazwiska, i przybrał miano, pod którem znaliśmy go wszyscy.

Uczony matematyk, za pośrednictwem

sławnego Arago, który wysoce go cenił, podawał do Akademii Nauk prace, które z wielkiem przyjmowano uznaniem, póki nie zamknęło mu podwojów przybytku wiedzy zamiłowanie jego szczególniejsze dla ptaszków. Lubił je nadzwyczajnie: codziennie sypał im ziarno i okruszyny chleba na okno swej izdebki, a śledząc ich życie i obroty, coraz bardziej oburzał się na koty, które gniazdeczka wyniszczają, i szukał ratunku dla swych ulubieńców. Wytepić rodzaj koci, zdało mu się z drugiej strony niesprawiedliwem, — wszak i to stworzenie Boże, a nawet użyteczne człowiekowi, bo myszy niszczy. Trzeba więc tylko przeszkodzić im wlaźć na drzewa. Obmyślił zatem Korylski projekt, żeby zalecono tylne łapy kotów smołą oblewać, a potem obuwać w łupiny włoskich orzechów; chodzić z tem mogą, a nawet myszy chwycić w pazury łap przednich, ptaszki zaś całkiem są zabezpieczone od ich napaści. Memoryał, który o tem napisał, okrył go naturalnie śmiesznością wobec Akademii, i następną pracę zwrócono mu nierozpieczętowaną.

Nie mniej pracował dalej, żałując, że wiek podeszły pewnie mu nie pozwoli doprowadzić do końca przygotowywanych ciągle obliczeń do kwadratury koła. Odzywał się czasem do mnie, żebym przykładala się do matematyki, a zapisze mi tę swoją pracę, abym młodo zacząwszy, ukończyć ją mogła; ale wyznaję, że nie bardzo mnie dar ten nęcił, a kiedym wyjechała do Rzymu, nie ukończywszy wprzód jak należało zadania z ostatniej lekcji, w którym za pomocą proporcji miałam wynaleść pewną liczbę koni, tknięty tem Korylski, długo mi zarzucał, że: «Panna Maryanna z końmi uciekła», i odtąd już się wyrzekł przekazania mi swej spuścizny matematycznej.

Nie było lekcji, w którejbyśmy nie posłyszeli go unoszącego się nad gienialnemi pomysłami Archimedesesa lub Pitagoresa, dla których cześć miał niezmierną, a że ten ostatni zalecał swym uczniom ograniczać swe potrzeby, głód zaspokajając surową jarzyną, a pragnienie czystą wodą, Korylski zapróbowował w Paryżu trzymać się przepisów greckiego filozofa, i przez

długi czas, przez lat kilkanaście, żywił się jedynie jarzyną, którą sam sobie strugał i zalewał osoloną wodą. Wprawdzie 35 franków żołdu miesięcznego, które pobierał, nie starczyły na wiele co lepszego, ale nigdy się nie posłyszało od niego, aby mu to nędzne życie ciążyło, a niepodobną było rzeczą przyjąć mu z czem w pomoc, choć odzież zużyta świadczyła o ostatecznym niedostatku.

Raz mama zechciała wsunąć mu zrecznie nowy kapelusz na miejsce wytartego, połamanego popielatego cylindra, wykrzywiającego się zimą i latem na jego głowie, a którym nie jeden żebrak byłby mógł wzgardzić. Przyszła więc podczas lekcji, przepaszając bardzo Korylskiego, że swawolny najmłodszy malec kapelusz zrzucił na ziemię, i całkiem pogniótł, ale że szczęściem, właśnie ma pod ręką drugi, tylko co dla ojca kupiony, i że ten panu profesorowi będzie mógł służyć, skoro z tamtego nic już się nie da zrobić.

Ale Korylski ani słyszeć o tem nie chciał. Poszedł do drugiego pokoju, wyszukał zasuniętego umyślnie pod krze-

sło starego towarzysza i wyprostowawszy go niby, powiedział:

— Pani dobrodziejko, dla mnie ten jeszcze całkiem dobry.

Ojcu nie lepiej się z nim udało. Uproszony przez Korylskiego, aby pójść razem dość daleko, siadł z nim do omnibusa i już chciał konduktorowi podać drobną należność, gdy profesor chwycił go za rękę i wydobywając związane w kraciastej chustce dwanaście susów, które widocznie przygotował w tym celu, wyrzekł:

— Panie Adamie, to moja rzecz płacić, skoro jedziesz w moim interesie!

Stoicyzm ten i poczucie własnej godności Korylski posuwał aż do heroicznie wysokiego stopnia.

W pierwszych latach emigracji, zdarzyło mu się zapoznać, a nawet zbliżyć z księciem Ludwikiem Napoleonem, wówczas pretendentem szukającym stronników. Ten przy rozstaniu ofiarował mu pierścień na pamiątkę, mówiąc: «Jeżeli kiedyś powiedzie mi się powrócić do Francyi i uskuteczyć moje zamiary, przyjdź mi się przypomnieć z tym zadatkiem przyjaźni».

Kiedy Ludwik Napoleon został obranym prezydentem Rzeczypospolitej, przyjaciele Korylskiego wiedzący o historii pierścionka, zapypywali: — A dlaczegoż nie idziesz do niego? — Zaczekajcie, — odpowiadał Korylski — niech zobaczę wprzód, jak on będzie rządził, i co zrobi dla Polski.

Nastało cesarstwo, — Korylski wciąż wyczekiwał.

Podczas wojny krymskiej bardzo był ożywiony, zapewne wybierał się do dawnego znajomego, ale gdy podpisano traktat paryski, zaprosił kilku przyjaciół, poszedł z nimi na most i solennie pierścień wrzucił do wody, mówiąc:

— Widzicie, że ten człowiek nie był wart tego, abym mu się przypomniał.

Ciotka opuściła nas na kilka miesięcy, aby powrócić do Warszawy. Za drugim jej przyjazdem zdecydowanem zostało, że towarzyszyć jej będę w podróży do Włoch, i ojciec przez parę miesięcy dawał mi lekcye włoskiego języka, czytając ze mną: *Le mie Prigioni* Silvio Pellico. Wieczorem często bardzo zasiadał ojciec do szachów, to z Niewiarowiczem malarzem, to z p. Ale-

ksandrem Chodźką. Grał on bardzo dobrze, a że dobrych też znalazł w tych panach graczy, tak długo czasem ciągnęła się partya, że na drugi dzień dalszy ciąg odkładano. Wciąż na to patrząc, nauczyłam się i ja gry tak poważnej, a tłumaczenia ojca wkrótce mi dozwoliły żywy w partyach brać udział.

Czasem szachownica przywiodła ojcu na pamięć fakt jaki ciekawy lub wspomnienie. Raz przy partyi, której moja ciekawość nie mogła końca doczekać, przypomniał podanie wschodnie o owym księciu, młodszym bracie sułtana, który właśnie grał w szachy, kiedy mu wezyr od swego monarchy przyniósł i z głębokim pokłonem do rąk oddał stryczek jedwabny. Skazany na śmierć, z najzimniejszą krwią, jak przystało, przyjął dar ten braterski, zażądał tylko, aby mu nie przerywano zaczętej partyi w najciekawszej chwili, i dano dokończyć. Wezyr uwzględnił ostatnie to życzenie, zaczekał z wykonaniem wyroku. Tymczasem gra ciągnęła się długo, — tak długo, że przez ten czas stronnicy młodszego brata wdarli się do pałacu, sułtana

zamordowali, a jeniec powstał od stolika witany okrzykami, które ogłaszały go wszechwładnym panem.

W Moskwie będąc, ojciec często w szachy grywał; w rozmowie naszej wieczornej, przerywanej dyskusją o tem lub owem pojechaniu, nieraz wspominał te czasy, i towarzysza swego ówczesnego Daszkiewicza. Milczące usposobienie Daszkiewicza skazywało go zawsze na podrzędną rolę w salonach rosyjskich, gdzie ojciec był bardzo usilnie zapraszany i pożądanym gościem. Nieśmiałym jego towarzyszem, po zamianie kilku słów powitania, nikt się już przez cały wieczór nie zajmował. Ojciec bywał nieraz wówczas w wesołym usposobieniu i lubił w mistyfikacye się bawić. Gdy go więc raz pani domu na takim wieczorze zapytała:

— Dlaczegoż to ten pański przyjaciel zawsze taki ponury i zamyślony? — odpowiedział jej konfidencyjnym tonem:

— O! ma on nad czem rozmyślać! Niepomysłne odbiera biedak wiadomości ze swoich majątków na Litwie, a teraz oto trzysta dusz wymarło mu tam na cholere.

— Trzysta dusz! — powtórzyła z wielkiem współczuciem uprzejma gospodyni, której właściciel fortuny pozwalającej na takie straty, bardzo interesującym wnet się wydał.

Przywołała więc zaraz córkę, polecając jej i młodym siostrzenicom, aby starały się wieczór uprzyjemnić gościowi, który dotknięty srogą klęską, trzysta dusz stracił na cholere!

Gruchnęła niebawem ta wieść po salonie, zwłaszcza w panińskim gronie, i nic dotąd nieznaczący Daszkiewicz ujrzał się nagle przedmiotem ogólnej uwagi i najuprzejmiejszych zabiegów. Pod wpływem tej cieplej, sympatycznej atmosfery, roztajały powoli chłód jego i obojętność. Ożywił się, rozgadał i wszystkich zająć potrafił dowcipną rozmową.

Wracając do domu, rozweselony Daszkiewicz przyznał się ojcu, że po raz pierwszy dobrze się zabawił w rosyjskiem towarzystwie, ale powtarzał kilkakrotnie z pewnem zdumieniem:

— Bardzo, bardzo miły dom, nadzwyczaj przyjemni ludzie: tylko nie mogłem

zrozumieć, dlaczego wszyscy tam ze mną mówili o cholery?

Przy herbacie zwykle gawędka toczyła się żywa o polityce.

Słyszałam wówczas ojca przypominającego, że wielkiem było dla niego rozczarowaniem, obaczyć w Rzymie królowę Hortensyą, którą zawsze sobie wyobrażał, wedle tego, co o niej słyszał w dziecińczych latach, jako ideał piękności i świeżości, — postarzałą i zupełnie brzydką, tak, że przyszła mu na myśl bajka o ślicznej królewnie przemienionej w brzydką żabę. Ale rozum jej, uprzejmość i wdzięk obejścia, prędko zatarły pierwsze to przykre wrażenie.

Z Napoleonidów bawiących wówczas w Rzymie, najczęściej ojciec widywał króla westfalskiego Hieronima, który nieraz do niego zachodził na dłuższą pogadankę. Raz wśród zajmującej rozmowy, spostrzegł ojciec przez okno, że przychodzi do niego jeden ze znajomych.

— Pozwoli mi wasza królewska mość, — rzekł do dostojnego gościa swego — że przedstawię mu mego rodaka pana Z.,

który widzę, że tu idzie, a który wielce będzie uszczęśliwionym z takiego spotkania?

— Nie, nie, — odrzekł żywo król — nie lubię prezentacyi, i odejdę zaraz, jeżeli mnie pan nie zostawisz w mojem incognito.

Zjawia się po chwili elegancki i wysoko głowę noszący młodzian, i po przywitaniu się, obrzuciwszy spojrzeniem lekceważącym skromny ubiór, skromniejszy jeszcze układ nieznajomego, siada, nie prosząc wcale, aby go przedstawiono człowiekowi starszemu, ale widocznie nienależącemu «do towarzystwa». Wszczyna z ojcem rozmowę pofrancusku, opowiada coś o Warszawie... Na to król odzywa się, że dobrze pamięta i mile wspomina Warszawę, w której czas dłuższy zatrzymał się.

— Pan był w Polsce, — przerywa protekcyjonalnie młodzian — zapewne służąc wojskowo?

— Tak panie, byłem tam z wielką armią.

— Doprawdy? czy oficerem? To pan musiał znać kapitana P.?

— Nie znałem!

— Nie znał go pan! on przecież wojskowych francuskich dużo przyjmował. A bywał pan u pani M.? albo u jenerałowej B.?

— Nie bywałem.

— Ależ, mój panie, — wykrzyknął młodzieniec tonem pełnym politowania — z kimże, w jakimże kółku pan się tam obracałeś?

Król uśmiechnął się tylko, i nie objaśniwszy wcale swego stanowiska światowego w Warszawie, pożegnał się wkrótce i odszedł.

— Zkądżeto pan wyciągnął tego Francuza? — zapytał zgorszony elegant. — Nieciekawa figura.

— A wiesz pan, — odrzekł ojciec — kim on jest, i z kim teraz rozmawiałeś? Z Hieronimem Bonapartem, królem westfalskim.

Światowiec był zrozpaczonym ze swej pomyłki, i długi czas nie mógł ojcu darować, że go nie uprzedził, jak się miał zapatrywać na nieznanomego, który przecie byłby mu się wydał całkiem innym, gdyby mu go polecono tytułować najjaśniejszym panem.

Ojciec, który jeszcze za rządów Ludwika Filipa przepowiedział powrót i wyniesienie Napoleonów, uporczywie zaprzeczał tym, którzy w prezydencie Rzeczypospolitej widzieli tylko słabego, nieudolnego człowieka, i lada podmuchem obalić go myśleli. Ponieważ z wyniesienia Bonapartych spodziewał się wielkich wypadków, widocznie coraz bardziej ożywał się i rozwieselał. Wówczas już starszą będąc, lepiej uważać mogłam całą wyrazistość twarzy, która u niego szczerem zawsze była odzwierciedleniem duszy. W chwilach zwyczajnych miał on wyraz spokojny, zadumany, nieraz posepny, oko prawie bezbarwne zdawało się ledwie widzieć świat otaczający; ale kiedy się rozgadał, ożywił, a szczególnie kiedy trafił na jaką kwestyą bliżej go obchodzącą, stawał się całkiem inny, rysy nabierały dziwnej energii i życia, oko błyszczało, duch rozlewał się i promienił na twarzy, tak, że czasem zdawało mi się, jakby jaka aureola otaczała bujne, srebrne już włosy, które żywym poruszeniem zawsze odgarniał z czoła. Nie widziałam też nigdy u nikogo uśmiechu

tak dziecinnie szczerego, tak pełnego dobroci jak ten, który czasem twarz mu rozjaśniał. Wprawdzie rzadki to był gość na jego obliczu, ale wieczorami czasem pogadanki Służalskiego, który i tutaj często się zjawiał, lub opowiadania i śpiewy p. Teofila Kwiatkowskiego, które też bardzo lubił, w dobry humor ojca wprowadzały. Największym zaś tego dowodem było, kiedy sam zaczął wspominać o Litwie, opowiadać różne stare szlacheckie anegdoty, albo własne swoje wspomnienia z dziecinnych i studenckich czasów. Przypominał pierwszy swój wyjazd do Wilna, bo ważną to było rzeczą wówczas jechać do stolicy; szlachcic, wybierając się w daleką tę podróż, długo się do niej gotował, a za powrotem na długo też co miał sąsiadom do opowiadania ¹⁾. Z głową nabitą o niebezpieczeństwie przeprawy przez Ponarskie góry, zaopatrzył się studencik w pistolet. Ja-

¹⁾ Następny opis wydarzenia w górach Ponarskich, wskutek dziwnej pomyłki osoby trudniącej się korektą pierwszego wydania tych «Wspomnień», został tam zupełnie przeinaczonym. Obecnie więc właściwą postać mu przywracam.

(Przypisek Autorki.)

kież było jego przerażenie, kiedy powoli wlokąc się przez piaski żydowską brykę, obaczył ztyłu jadącą brykę, a na niej jakiegoś człowieka silnej postawy, który widocznie miał go na oku i usiłował dopędzić. Darmo na Żyda nalegał, aby popędzał konie, nieznajomy coraz się zbliżał, i już, wydobywszy sławny pistolet, ojciec miał walecznie się bronić, kiedy szczęściem, odezwał się do niego poczciwy szlachcic, który brał do siebie studentów na utrzymanie i jego chciał zwerbować. Resztę drogi odbyli razem w najlepszej komitywie, i u mniemanego rozbójnika ojciec zamieszkał.

Niekiedy cofał się aż do czasów swych dziecinnych, matkę wspominał, którą bardzo kochał. Przypominał wtedy, jak dzieckiem lubił siadać na ogonie jej sukni, aby ciągnęła go po pokoju i bawił się garnuszczykiem wyzlacanym porcelanowym od rózu, którego wówczas moda koniecznie używać kazała naszej wcale nie pretensyjnej babuni. Rok 1812 głębokie na nim był uczynił wrażenie. Przejście najprzód wojsk Napoleona świetnych i błyszczących,

wjazd młodego króla westfalskiego w całej okazałości potęgi i powodzenia, a potem powrót tych szczątków rozbitych, zgłodniałych, wynędzniałych, plondrujących po domach opustoszonych, w umyśle dziecka wyryły niezatarte ślady. Przypominał straszne wrażenie, jakie na nim zrobił jakiś wyższy oficer w błyszczącym od złota i haftów mundurze, który zgłodniały dopadłszy łojówki, chciwie ją ogryzał. Klęski te ciężko się odbiły i na nowogródzkim domku. Dziad już nie żył, a babka znalazła się z diatwą narażona na ciągłe napady i rozboje. Parkan koło domu wojsko rozebrało na opał, tak, że tylko brama jedna pośrodku sterczała. Straszne też były noce tej groźnej zimy. Wówczas zjawił się nagle, jakby na strażnika umyślnie zesłany, duży czarny pies, który niewiadomo z kąd przywędrował i najgorliwiej domu pilnować zaczął. Przez całą noc leżąc na śniegu, czujną wartę odbywał, a nikt go do domu zwabić nie mógł. Jedna nasza babka miała łaskę u niego, i kiedy wyszła go pogłaskać, wchodził czasem za nią do pokoju i przyjął tam z jej ręki jakie pożywienie;

ale zaledwie skończył, znowu na dziedzi-
niec powracał i tam czujną wartę odby-
wał. Tak przeszła zima, a gdy piękne dnie
wiosenne nastały i wszystko się uspokoiło,
pies zniknął równie tajemniczo jak był się
zjawiał, zostawiając w pamięci dzieci wspo-
mnienie jakby legiendy.

Dom ten nowogródzki miał inne swoje
ciekawości. Dziadek nasz nadzwyczaj zwię-
rżęta wszelkie lubił i był u siebie utworzył
rodzaj menażeryi. Wiosną dzieci wydołać
nie mogły dostarczaniu owadów i ziarna
dla najrozmaitszych ptaków; był i wilk
przyswojony i lis i kruk. Wilka natura,
jak mówi przysłowie, pociągnęła do lasu.
Lis długo się trzymał, w domu najporzą-
dniej się prowadząc, ale w nocy-najazdy
ciągle robiąc na kurniki Żydów nowo-
gródzkich; zmówili się wkońcu synowie
Izraela, i złapawszy złodzieja na gorącym
uczynku, zamordowali. Kruka owego na
kilka lat przed śmiercią ojca ktoś widział
w Nowogródku i wielką sprawił mu przy-
jemność przynosząc tę nowinę.

Oryginalną też postacią w domu miał
być stary sługa, którego nasz dziadek był

przezwał Ulissesem, bo co wieczór bajał o prawdziwych i zmyślonych swoich podróżach najdziwniejsze rzeczy, których dzieci, zbiegłszy się do piekarni, tak chciwie słuchały, że ich potem nakłonić nie było można do pójścia spać. Ulubionym jego tematem były fantastyczne przygody, które mu się przytrafiły w domu poprzedniego jego pana, a ten, jak się potem okazało, był farmazonem, a więc w zmowie z nieczystymi duchami. Ktoś raz przed nim wspomniał o nagłej śmierci jednego z sąsiednich obywateli. Na to Błażej tajemniczą przybrał minę i ponuro odezwał się, że wie co to znaczy. Na usilne prośby zaciekawionej swojej publiczności, zaczął wkońcu opowiadać, jak był świadkiem okoliczności, która przed kilku latami spowodowała równie nagłą i dziwną śmierć w okolicy.

Raz w lipcu, pan jego zawołał go wieczorem i kazał mu zaprząć sanki, na dziedziniec wyprowadzić a samemu pójść spać. Zadziwiony mocno takowym rozkazem w gorącą noc letnią, Błażej postanowił zbadać co to miało znaczyć; zatem uczeplił

się z tyłu u sanek, zarzuciwszy na siebie dywan, którym przykrył siedzenie, i przy-
czajony doczekał północy. Wówczas pan
jego się zjawił w dziwnem jakimś ubraniu,
długim płaszczem okryty, i siadłszy do
sani wziął lejce i konie biczem zaciął. Ja-
kież było zadziwienie Błażeja, kiedy uczuł
jak sanie lekko podniósłszy się w górę,
żwawo w powietrzu sunąć się zaczęły,
o jaki łokieć nad ziemią! Pewny, że pan
jego wcale obecności jego się nie domy-
ślał, wychylił głowę zpod dywanu, a że
noc była jasna, księżycowa, najdoskonalej
mógł przypatrywać się tej dziwnej po-
dróży. Wkrótce z różnych stron zaczęły
zjawiać się takie same napowietrzne sanie,
i coraz dłuższy orszak ciągnął w stronę
dworu jednego znanego farmazona. Nieza-
długo dom się ukazał cały iskrzący oświe-
conemi oknami. Korzystając z ogólnego
zamieszania przy wysiadaniu z sani, Bła-
żej zeskoczył i wmieszawszy się do służby,
wszedł na pokoje. Znalazł on tam wszy-
stkich farmazonów z okolicy, a między
nimi dużo pań i panów suto ubranych;
tylko dziwne jakieś u mężczyzn były fizyo-

gnomie a u kilku dam ze zgrozą spostrzegł wyglądające zpod strojnych, wlokących się po ziemi sukień, długie kosmate ogony. Kapela hucznie grała, chciał bliżej się jej przypatrzeć i zobaczyć, że z rozpalonego drutu były struny skrzypiec, które trzymali w rękę muzykanci. Odwrócił się strachem przejęty i wziął z tacy, którą roznosili, kieliszek wina; szczęściem kropelka kapnęła mu na rękaw i w suknie, jak iskierka, dziurę przepaliła, zatem Błażej trzymając się na ostrożności, zdaleka tylko patrzył i słuchał. Wkrótce ucichła muzyka i wśród uroczystej ciszy wszyscy udali się do sąsiedniej sali, gdzie na ścianach kirem wybitych wisiały portrety wszystkich farmazonów. Naczelnik zgromadzenia wypowiedział wówczas, że jeden z braci zdradził, że nazwisko winowajcy dotąd niewiadome, i że na to zebrali się, aby przekonać się kto był winien i ukarać go z całą surowością prawa. Zatem wzięwszy świecę w rękę, zbliżał się kolejno do każdego wizerunku, i bacznie mu się przypatrując, zapytywał: »Czyś ty złamał przysięgę?« Był już obszedł w ten sposób prawie całą salę,

aż kiedy zatrzymał się przed jednym z ostatnich portretów i straszne zakłęcie wymówił, zaczerwieniły się na płótnie lica winowajcy. Wówczas ze wszystkich stron podniosły się przekleństwa, a naczelnik zawoławszy stanowczo: »Winien, winien śmierci!« — nożem przebił pierś zdrajcy. W kilka dni później, dodawał Błażej, dowiedziałem się, że nagle ten sam farmazon umarł, zatem i teraz musiał paść wyrok taki.

Nieraz bywało, że kiedy Błażej zapowiadał swemu audytoryum dłuższą powieść, nasz dziad ulegał także ciekawości posłuchania go, żalując czasem, że wychowanie nie rozwinęło tak bujnej z natury imaginy, która, sama sobie zostawiona, tworzyć umiała takie dziwne a nawet pewną poezją nacechowane pomysły.

Wielką też przyjemnością dziecinnych lat ojca było towarzystwo jednej sędziwej przyjaciółki i sąsiadki jego rodziców, której nazwiska nie zapamiętałam, a która też musiała być oryginalną w swoim rodzaju postacią: bo zamłodu, kiedy odmówiono jej w rodzicielskim domu zezwolenia na

związek z tym, którego serce jej obrało, kazała mu się wykraść i konno pojechała brać ślub w kościele, pistolety mając w olstrach, aby bronić się w razie pogoni i napadu. Lata podobno nie były osłabiły energii amazonki ani dowcipu, z którym opowiadała wspomnienia z młodocianych swoich czasów, których ojciec, małym będąc chłopaczkiem, odbiegając zabaw swego wieku, chciwie zawsze słuchał. Uwaga ta jego i zajęcie zjednały mu szczególniejsze jej łaski, i nieraz gładząc go ręką po głowie, powtarzała: »Obaczycie, że z tego dziecka będzie człowiek, bo lubi starszych słuchać«.

W nowogródzkich szkołach uczniowie przy popisie zwykle odegrywali komedią jaką. W jednym z takich przedstawień brał ojciec udział bardzo młodym jeszcze będąc chłopaczkiem, a że jasną miał cerę i drobne rysy, wyznaczono mu rolę panny. Próby odbyły się jak należy i wszystko szło dobrze w dniu solennym popisu, wobec władz szkolnych i liczного zgromadzenia obywatelskiego; ale gdy nadeszła patetyczna scena oświadczyn, postrzegła, lubiąca figle płatać, heroina, że klęczący

u nóg jej kolega niezgrabnie jedną rękę na ziemi położył, i zdradziecko nadeptała mu palce. Musiał znieść to milcząco nie-szczęśny kochanek i afekty swe wynurzać dalej, ale ledwie znaleźli się za kulisami, rzucił się pełen złości na swą bogdanę. Spętanej w suknie trudno się było bronić, i wyszła z walki z tak srodze podrapaną twarzą, że ledwie potrafiono jakąś skomplikowaną fryzurą nasuniętą na czoło i nadmiarem blanszu i różu zakryć ślady nieporozumienia kochanków, aby w ostatnim akcie mogło przecie nastąpić połączenie kochającej się pary. Zdaje mi się, że widzę jeszcze ojca śmiejącego się na to wspomnienie i przypominającego inne zabawne epizody nowogródzkich przedstawień scenicznych. Urządzono raz teatr amatorski, a że grać miano jakąś sztukę fantastyczną, »Syrenę Dniestru«, w dużej stodole przygotowano na scenie maszyneryą, aby nimfa wodna mogła zniknąć nagle stanawszy na desce, która spuszczała się w dół wydrążony w tym celu. Ponieważ figurował w komedyi oddział wojska, pułkownik rosyjski stojący na garnizonie, obiecał przy-

słać kaprała z dwunastu żołnierzami pod
bronią, a niedźwiedzia który przechodził
przez scenę podczas burzy w lesie, miał
przedstawiać chłopak wiejski ubrany w skórę
niedźwiedzia, któremu za całą instrukcją
polecono, aby szedł na czworakach po-
woli i kołysząc się. Ale zapomniano go
ostrzec, że grzmoty i błyskawice naśla-
dować będą. Gdy więc błysnęło nagle na
scenie a potem huknęło, niedźwiedź stanął
na tylne łapy żegnając się: »a w Imię Ojca
i Syna...« W drugim akcie większą jeszcze
dywersją zrobił Żyd, który się podjął oświe-
tlić salę, rozumie się, łojówkami. Kulisy
tak były urządzone, że lewa strona tylko
miała wyjście na zewnątrz, a poza deko-
racjami obejść nie można było sceny. Za-
pomniał o tem Żyd, ciągle zajęty objaśnia-
niem swoich świeczek, i znalazł się po prawej
stronie za kulisami w chwili podniesienia
kortyny, a więc nie mógł już się ruszyć.
Ale widział doskonale co się działo na-
przeciw niego, po lewej stronie sceny, gdzie
stali też za kulisami żołnierze, i spostrzegł
ze zgrozą, że kaprał obejrzawszy się poza
siebie czy nikt nie patrzy, zdmuchnął jedną

świecę i wsunął do lufy karabina. Za przykładem starszego jeden, drugi, trzeci żołnierz gaszą świece i chowają w karabinach, w kulisie coraz ciemniej. Zrozpaczony swą bezsilnością Icek zapomina o wszystkim i zginając się we dwoje, chce przemknąć chyłkiem przez scenę poza aktorami. Tymczasem napotyka na deskę przygotowaną dla syreny, ta się pod nim usuwa, i tak obok Nimfy Dniestru i zdumionej publiczności ukazuje się na chwilę Żyd, który wnet szamocząc się i krzycząc w niebogłosy zapada się w ziemię.

Na takich opowiadaniach, które rozjaśniały zawsze i jakby odmładzały ojca, cofając go do szczęśliwszych lat i ukochanej Litwy, upływały wieczory daleko milej, niż kiedy polityka zaprzatając umysły, nasuwała mniej dla mnie interesujące przedmioty rozmowy. Czasem, gdyśmy byli sami, ojciec brał Iliadę przekładu Dmochowskiego, którą wówczas czytać mi kazał, i zwracał moją uwagę na nieśmiertelną piękność, prawdę i prostotę utworu greckiego wiejsza, a kiedy bardziej się ożywił, z pamięci całe ustępy powtarzał. Raz poze-

gnanie Hektora z Andromachą tak go poruszyło, że głos jego zadrżał i zatrzymać się musiał, głęboko rozrzewniony. U mnie życie jeszcze nie było rozbudziło uczuć, które tak żywo w sercu ojca wywoływał obraz wojownika, zawczasu ubolewającego nad losem swej wdowy, i z dziecinną ciekawością słuchając pięknych wierszów, bo-
daj że bardziej od samej Iliady podziwiałam ogromną pamięć, która w każdej chwili jakibądź ustęp powtórzyć mogła.

Opowiadał mi stryj nasz Franciszek, że za szkolnych czasów łamał sobie nieraz całemi wieczorami głowę nad zadanemi lekcyami, podczas kiedy Adaś czytał sobie co innego, i dopiero położywszy się, odzywał się z łóżka do siedzącego nad książką brata: »Franku, przeczytajno raz, głośno, jutrzejsze lekcyę«. Poczem zasypiał w najlepsze, a brat, który do późna w nocy się uczył, nigdy nazajutrz tak dobrze jak on lekcyi wydać nie mógł. Pamięć tę ojciec był zachował w całej świeżości i sile, i wymagającym też był dla nas, abyśmy co się przeczytało i przypomnieć chciało, dosłownie zawsze powtórzyli.

Tymczasem zbliżał się powoli dzień mego wyjazdu z ciotką do Włoch, i przyszło położyć koniec lekcjom, które ojciec na przygotowanie do podróży mi dawał (gdyż język włoski dobrze posiadał, równie jak prawie wszystkie europejskie), i pożegnać nie skończywszy »*Le mie Prigioni Silvio Pellico*«, które czytaliśmy razem. Po długich przygotowaniach do drogi, po kupieniu dwóch maleńkich sztyletów, z których ojciec śmiał się niezmiernie, widząc, że spodziewamy się spotkania z jakim Rynaldem Rynaldinim, po zaopatrzeniu się nareszcie w Liwiusza, aby czytać go jak przystało w Rzymie, odwiózł nas ojciec na dworzec kolei żelaznej. Choć spłakana po rodzicach i rodzinie, czułam, że z wesołą ciekawością ku Włochom lece, nie przewidując, że z tym wyjazdem kończył się dla mnie okres wesołych lat dziecinnych. Za powrotem znalazłam już inne kłopoty, zgryzoty, a wkrótce ujrzałam początek choroby, z której mama już wyjść nie miała. Na opisanie tej bolesnej epoki czuję, że nie staje mi odwagi.

Pobyty mój z ciotką we Włoszech przeciągnął się nad czas pierwotnie oznaczony

i trwał blisko półtora roku. Podówczas odbierane częste listy mamy i parę listów ojca donosiły nam o wypadkach domowych, o przeniesieniu się rodziny na *rue Notre Dame des Champs*. W Neapolu do szła nas wiadomość o decyzji ministra Fal-loux, która ojcu, pobierającemu od 1845 r. tylko połowę pensyi profesora w Collège de France, całkiem tę posadę odbierała. O tej klęsce domowej mama ze zwykłą sobie energią pisała:

»Jeśli zaszła próba materyalna, mamy siłę ją znieść, gdyż to nie jest największe nieszczęście, które może dotknąć rodzinę tak liczną jak nasza«.

Niebawem też zostałyśmy z ciotką uspokojone o bycie naszym, nominacyą ojca na bibliotekarza w Arsenale.

Tam już znalazłam mieszkających rodziców, kiedy z bijącym sercem, wesola jak ptaszek, który do gniazda powraca, wyskoczyłam z powozu przed starym gmachem, sięgającym czasów Henryka IV-go.

Pierwsze wrażenie przyjemnem nie było: ciemne mury, ogromne sklepienia, długie korytarze, przypominały klasztor lub wię-

zienie; ale kiedy przebiegłszy je, zadzwoniłam u wejścia i obaczyłam mamę, która właśnie drzwi nam otworzyła, jakże promiennym Arseniał mi się wydał. Trzymała ona właśnie na ręku śliczne jasnowłose dziecko, które to lękliwie do niej się tuliło, to ciekawie błękitne zwracało oczy na nieznajome mu twarze przyjezdnych. Tym dzieckiem ty byłeś, mój Józiu, a raczej też, jak cię wówczas nazywano, Beniaminek całej rodziny i faworyt ojca.

Za chwil parę i ojciec z pokoju swego wysunął się posłyszawszy odgłos rozmowy, wykrzykników i powitań, i z zadziwieniem w opalonej, dużej dziewczynie, która ręce jego całowała, poznał swoją Marynię. Wyglądał on wówczas dobrze: gęste włosy jeszcze bardziej posrebrzyły się, ale w sobie był utył cokolwiek i cera zwykle blada, czerstwiejszego była nabrała koloru.

Wkrótce ze szkoły i pensyi, na obiad, pojawili się bracia i siostra; gwar coraz weselszy i hałaśliwszy podnosił się, w miarę jak nowe zjawiały się główki.

Wieczorem jednak zostawiłam młodsze rodzeństwo przy zabawie, brata przy lek-

cyach, i poszłam, odzyskując dawny przywilej, nalać ojcu herbatę. Jakże słodko było czuć się znowu w rodzicielskim domu, którego wśród wszelkich piękności Rzymu i przy ukochanej ciotce tak często mi brakło; z jak dziecinną radością witało się dawnych znajomych, dawne nawyki, każdy drobiazg domowego życia, i jak ja ciebie żałuję, mój Józiu, żeś nigdy nie doznał podobnego szczęścia.

Tryb życia u nas mało się był zmienił, choć ojciec trzy razy na tydzień zmuszony miał zajęcie siedzenia przez dzień cały w Bibliotece, zajęcie, które później dopiero całkiem zrozumiałam, o ile mozolnem dlań było. Obok utrudzenia — bo co chwila, jeżeli chciał czytać lub pisać, każdy przychodek mógł mu przeszkodzić, żądając tej lub owej książki — miał on także inne podrzędne, ale, dla takiego jak on człowieka, dotkliwe przykrości. Oprócz konserwatora biblioteki, p. Laurent de l' Ardèche, zanego człowieka, który od razu ojca ocenił i był dla niego pełen przyjaźni i względów, i kilku innych uprzejmych, jeżeli nie z gruntu życzliwych, większą część jego

współpracowników raział rozgłos nazwiska nowego bibliotekarza, lub ciekawość, z którą zwiedzający bibliotekę, nieraz starali się go zobaczyć. Ztąd niechęć tłumiona ale objawiająca się w drobiazgach, które życie wspólne codziennie nasuwa. Nigdy ojciec ani o swoim zajęciu, ani o tych panach w bibliotece słowa nie mówił, ale pod koniec szczególnie widzieć czasem można było, ile go to kosztowało.

Wieczorem, prawie codziennie, kazał Władowi pokazywać sobie zadane na drugi dzień lekcye i sam wypracowania łacińskie poprawiał; a czynił to z taką starannością, że nieraz w godzinę po lekcyi słyszałam jak ojciec z wyższego piętra, gdzieśmy mieli swoje pokoiki, Władzia przywoływał, aby jeszcze słowo jakie lub wyrażenie na właściwsze zamienić. Tych lekcyj łaciny szczerze bratu zazdrościłam; starałam się spaamiętać te, które głośno powtarzał, i wkońcu odważyłam się poprosić, żeby i mnie wolno było razem z nim łaciny się uczyć. Ojciec wszakże na to się nie zgodził, mówiąc:

— Daj pokój! i tak aż nadto lubisz

czytać; wykierowałabyś się na pedantkę, a tego nie chcę.

Ale cokolwiek później, lekcye niemieckiego zgodził mi się ojciec sam dawać, i zaczęliśmy razem czytać Goethego: «Hermann und Dorothea».

Raz ojca zniecierpliwiło nieudolne moje tłumaczenie i spróbował objaśnić mi, o ile moja praca niegodną była oryginału; na co odpowiedziałam z pokorą, że sama to czuję i rozumiem, ale że lepiej tłumaczyć nie potrafię.

Wówczas ojciec z żywością książkę otworzył, i powoli, ale wcale nie zatrzymując się, wierszem polskim tej samej miary co wiersz Goethego, utwór niemieckiego mistrza zaczął przekładać. Może byłby choć nowy ułamek przybył do tłumaczeń jego z obcych poetów, bo widocznie był w nastroju poetycznym; ale nie szczęściem, po kilku wierszach wykrzyknęłam osłupiona:

— Ależ to wiersze, papo!

Wówczas ojciec zadrgnął, jakby przebudził się, książkę zamknął i odesłał mnie mówiąc, że lekcya skończona; mnie zaś

żał ogarnął, żal, który dotąd pozostał, za tak niewczesne odezwanie się moje.

Pomiędzy książkami, które mi ojciec dawał czytać jako wzory stylu, stały pomiędzy pierwszemi «Pamiętki Soplicy». Osoba ich autora żywą więc wzbudzała we mnie ciekawość, i o Henryku Rzewuskim kilkakrotnie wieczorna toczyła się rozmowa. Ojciec przypominał, jak uderzony nie-zrównanym jego talentem do opowiadania, napędzał leniwego do pióra, i wymógł niejako na nim napisanie owych «Pamiętek», jednego z arcydzieł literatury naszej. Ale powtarzał, że wszelkie pisma autora przewyższała jego rozmowa, w której z żywym dowcipem łączyły się zasoby ogromnej pamięci i zdumiewającej znajomości historyi polskiej, stosunków i obyczajów krajowych. Obok dat i szczegółów najdrobniejszych nawet wypadków, znał Rzewuski herby, przydomki i koligacye wszystkich domów szlacheckich całej Polski, zaczynając od pałaców magnackich, a kończąc na zaściankach ukrytych w najbardziej zapadłych stronach. A pamięci tej, która pozorem prawdy dziejowej zabar-

wiała nieraz własne jego pomysły, dawał cochwila dowody tam nawet, gdzie wcale się ich nie można było po nim spodziewać.

Kiedy, po zawiązaniu znajomości w Odesie, odbywał wspólnie z ojcem przejażdżkę po Czarnem morzu, zerwała się nagle jedna z tych burz, które tem gwałtowniejsze tam bywają, że w ciasnym zamknięte obrębie. Ojciec, któremu podróż morską nigdy innej nie sprawiała przykrości, prócz zdwojonego apetytu, sam jeden pozostał na pokładzie, — inni pasażerowie ulegli morskiej chorobie i nawpół żywi leżeli w kabinach, a między nimi Rzewuski. Ojciec długo podziwiał wspaniały widok rozhlukanych wód, ale potem zaczął szukać daremnie czem głód zaspokoić, bo woda kuchnię zalała, a fale w jego oczach zmiotły z pomostu skrzynie z zapasami i kotuch z kurami. Burza coraz wzmagająca się, wreszcie sam kapitan zaczął wątpić czy okręt zdoła uratować, i ogólny podniósł się lament.

Ojciec zszedł do Rzewuskiego, który znękany i jęczący, zaczął mu się użalać,

że przyjdzie marnie zginąć — umrzeć bez spowiedzi.

— Ach! — wzdychał przy tem — gdyby tu był przynajmniej jaki Ossoliński między nami.

— Ossoliński? — powtórzył ojciec zdziwiony, a zarazem niespokojny, czy chory nie wpadł w malignę i nie majaczy.

— A tak, — objaśnił Rzewuski gasnącym głosem — czyż nie pamiętasz, że kiedy w roku 1634 Jerzy Ossoliński jeździł z poselstwem do Rzymu, Urban VIII. nadał mu osobny przywilej, jemu i jego potomkom, aby w razie ostatecznego niebezpieczeństwa mogli udzielać rozgrzeszenia *in articulo mortis*. Otóż jabym się Ossolińskiemu zaraz wypowiadał.

Starego służącego towarzyszącego hrabiemu w podróży do Szwajcaryi i do Włoch, ojciec też wspominał, jako typ ciekawy. Zamknięty w kółku pojęć i zwyczajów, wśród których wzrósł w kraju, pogardliwie spoglądał na wszystko w obcych mu stronach, streszczając czasami swe wrażenia w obrazowych poswojemu orzeczeniach. Tak ojcu opowiadał podróż w Alpach:

— Co mi tam pięknego w tej Szwajcarii? góry i góry. Namęczy się człowiek po tych górach, wszędzie pusto, głucho, wreszcie rad, że się dostał do jakiego miasteczka, a i tu pusto, panie... w samo południe ani żywej duszy — tylko chmury po rynku przechadzają się!

O Włochach zaś odzywał się, widząc wszędzie jedzących sałatę:

— Jak zima tu nadejdzie, to ci ludzie chyba sianem żyją!

Obojętny na pomniki Rzymu, kościoły tylko Maciej zwiedzał pobożnie, i nikt mu wyperswadować nie zdołał, aby ilekroć przejść mu wypadło przez salon hotelowy, w którym wisiał obraz mitologiczny, nie przeżegnał się przed Wenerą z Kupidynem, którą brał za Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus.

Raz odezwane się Macieja tragiczne wywarło wrażenie. Wybuchła w Rzymie cholera, i między zabobonnym ludem krążyć zaczęły pogłoski, że cudzoziemcy wodę zatruwają. Odzywały się już głośno pogroźki na *forestierów*. Ówczesny dyrektor szkoły artystycznej francuskiej, znajdującej

się w willi Medici, Horacy Vernet, rozesał wezwanie do szerokiego koła znajomych, aby schronili się do pałacu, który odosobniony i na wzgórzu położony, mógł służyć za punkt obronny, i tłumnie zebrano się zaraz u niego.

Wesołość francuska nigdy praw swoich nie traci, a Vernet znanym był z werwy i fantazyi: wkrótce więc śmiać się i żartować zaczęto, kiedy ogłosiwszy się naczelnikiem obleżonej fortecy, kazał młodym swym malarzom i rzeźbiarzom poznosić broje, bronie, hełmy używane dla kostiumowania modelów.

Zaczęto je przymierzać, witać okrzykami fantastycznie przybranych obrońców, grupować ich malowniczo, popłoch zamieniał się w zabawę i ochota coraz wzrastała, gdy Maciej krok w krok chodzący za swym panem, nic nie mówiąc, najprzód rękawy zakasał, a potem milczkiem okno jedno otworzył.

— Cóż robisz? — zapytał hrabia.

— A kędyżto, proszę pana, będziemy trupy wyrzucać? — odparł flegmatycznie Maciej.

Zmroził tem nagle ogólną wesołość i radzi byli wszyscy, gdy od naczelnika policyi przysłano z zapewnieniem, że środki ostrożności przedsięwzięto, i że cudzoziemcy mogą bezpiecznie powracać do swych domów.

*

*

*

Wieczorami mniej więcej to samo zbierało się towarzystwo: w pokoju ojca, Służalski rozmowniejszy niż kiedykolwiek i amatorowie szachów; ale więcej też gości bywać zaczęło w saloniku mamy, przychodząc to na obiad, to wieczorem podczas kilku tygodni pobytu ciotki Zofii. Bardzo rozweselił nas wówczas przyjazd do Paryża pp. Proskurów, których w Rzymie byliśmy z ciotką poznały i odbyły wspólną podróż do Neapolu. Rodzice nadzwyczaj ich cenili i mało gdzie tak bywać lubili jak w tym zacnym, uprzejmym, gościnnym domu, który tyle słodkich wspomnień mi zostawił. Ale krótko, niestety, zabawili pp. Proskurowie, powracając do siebie na Ukrainę. Niezadługo po ich wyjeździe,

ciotka też, pomimo ogólnego żalu, opuściła nas i do Warszawy wróciła.

Na lato zmieniliśmy mieszkanie. W Arsenale, tuż nad Sekwaną położonym, wystawionym na południe, czyste mieliśmy wprawdzie powietrze, piękny rozległy widok przeciwległego brzegu rzeki, szczególnie nad wieczorem, kiedy kopuła Inwalidów zdawała się kąpać w czerwonym świetle zachodzącego słońca; ale latem gorąco było wielkie. Skarżyliśmy się też na niewygodę obszernego, ale źle rozłożonego mieszkania, i na okna, które, że nisko się otwierały, ojciec, lękający się bardzo wypadków z dziećmi, dopołowy zakratować kazał, tak, że zdawało nam się, iż w klatce lub za klauzurą siedzimy.

Szcześciem też prawdziwem było przeniesienie się do Montgérana, gdzie bardzo tanio wynajęto nam część willi jenerała de Rottemburg. Mieszkanie było wcale obszerne, a uprzyjemniał je ładny park, pełen dużych drzew i świeżych trawników. Ale ojciec nieraz powtarzał, że wolałby raczej małeńki a osobny domek z ogródkiem, niż park, do którego wyjść

nie mógł swobodnie, ażeby się nie spotkać z wystrojoną zawsze, choć nie młodą jenerałową lub ze starym jenerałem, którego fotel wysuwano do ogrodu.

Dawny ten żołnierz napoleoński, pełen jeszcze energii, choć stary i schorowany, lubił rozprawiać o czasach swojej młodości, o Warszawie, której był gubernatorem przez czas jakiś; a ilekroć wspominał S. M. l'Empereur et Roi, zawsze podnosił czapeczkę z siwej głowy, z taką czcią religijną, jaką nie codziennie przed ołtarzem się widzi. W dzień imienin cesarza musiano go oprowadzać, aby sam drżącą ręką pozapalał przygotowaną z jego rozkazu iluminacją, stawiając nam żywy dowód siły tej tradycyi napoleońskiej, o której ojciec tyle razy mówił.

Wkrótce na wakacje zawitali bracia, a z nimi towarzysz Władzia, Egipcyanin, który sam jeden wysłany do Francyi na wychowanie, i stęskniony za rodziną, był się do nas przywiązał, i każdą razą Władziowi za wyjściem ze szkoły towarzysząc, stał się siódmym dzieckiem w domu. Ruch i wrzawa napęłniły ciche dotąd po-

koje, i drzewa owocowe ogrodu częste zaczęły odbierać odwiedziny.

Ojciec dojeżdżał do biblioteki. Kilka dni przed moimi urodzinami, przysłała mu z Ukrainy dobra nasza przyjaciółka kape kanausową na łóżko i sztukę materyi wschodniej na szlafrok. Ojciec nic nikomu o tem nie mówiąc, położył na stole sztukę jedwabiu, którą chciał mi podarować. Tymczasem matce wypadło niespodzianie zajrzeć do domu. Widząc ładną materyą, domyśliła się, że to przygotowane dla mnie wiązanie, i przywiozła mi ją. Ojciec na moje podziękowanie nic nie odpowiedział, ale nazajutrz przywiózł mi kape, mówiąc: Mama zepsuła mi niespodziankę, którą chciałem ci zrobić, muszę ci więc sprawić drugą. I swoim zwyczajem zapytał: «A ileto lat skończysz»? — aby dodać, posłyszawszy odpowiedź, która go zawsze dziwiła: «Czyż może być, żeby już tyle»!

Blisko Montgérán jest jezioro Enghien. Ojciec zabrał nas tam na spacer, wsiedliśmy na łódkę i bracia zaczęli wiosłować, szczęśliwi i dumni, że ojca wiozą. Obecny temu znajomy, zaczął ojcu win-

szować, że synowie tak rosną i, że doczekał się już pomocy, — a ojciec wskazując na nich, odrzekł z nawpół smutnym uśmiechem:

— A rosną! to nasi spychacze!

Korzystając z pięknych dni letnich, liczna nasza gromada, nieraz powiększona przyjeżdżającymi kolegami Władzia, ruszała do bliskiego lasu pobiegać lub łowić motyle, których zbiór mieliśmy ułożyć. Ty, mój Józiu, rzadko chodziłeś z nami; drobne twoje nóżki wydołać jeszcze nie mogły dalekim spacerom, i nadewszystko lubiłeś na trawniku przed domem chwytac koniki polne, które obejrzawszy, matce lub ojcu pokazawszy, starannie napowrót odnosiłeś, puszczałeś na trawę, nigdy im najmniejszej nie zrządziwszy szkody. Tam więc dni spędzałeś, lub przy fontanie zapatrzony na płynącą wodę, albo kiedy księżyc świecił, całemi godzinami mając oczki wlepione w jasną jego tarczę. Kontempla-cye te bardzo ojca bawiły, i poszanowanie dla skrzydełek koników polnych mocno pochwalał w swoim faworycie.

Pod jesień ojciec też na długie wycie-

czki z nami do lasu Senart namawiać się dawał. Ale las ten, choć obszerny, nie wiele miał powabu, jako regularnie wycinany, a więc wszelkiej pozbawiony rozmaitości; miał też ważny ten niedostatek, że grzybów prawie wcale w nim nie było. Raz, dla pocieszenia nas po niefortunnej wyprawie na borowiki, Służalski, z prawdziwym talentem, z gałęzi i trzciny sfabrykował kaczkę, którą puścił na wody dużego stawu; licząc, że jego *canard végétal*, w pewnem oddaleniu, skusi każdego strzelca, i że nie mało prochu na nią wystrzelają myśliwi francuscy, tak chciwie polujący na rzadką zwierzynę. Ostatni to bodaj był ów pomysł myśliwskiej Służalskiego fantazyi, którym ubawieni, choć z próżnemi rękami, powróciliśmy do domu.

Wkrótce po naszym przyjeździe do Montgérana przybyło nam miłe sąsiedztwo. Znany fortepianista i uczeń Chopina, p. Fontana, zajął pawilon w tym samym parku położony. Żonę jego mama bardzo lubiła, a dzieci, z których najmłodsze ojciec właśnie w Montgérana do chrztu trzymał, były nam towarzyszami zabawy. Wieczorami

do nich często chodziłam z rodzicami słuchać pięknej, pomistrzowsku wykonywanej muzyki. Pod koniec wakacyj przybył i skrzypek, p. Konstanty Parczewski, i klasyczne koncerty odbywały się w przyjacielskim kółku, z którego w lat parę, śmierć prawie nikogo zostawić nie miała.

Z końcem lata ubiegły ostatnie dni nasze pogodne. Przyszło braciom pożegnać spacer, swobodę wiejską, łowienie motylów i powracać do murów szkolnych. Po ich wyjeździe mama pierwszy raz nagle zasłabła, ale słabość jej wydała się wówczas rzeczą zwyczajną, i nikt w niej nie poznał objawów groźnej choroby. Na drugi też czy trzeci dzień, podniosła się zaraz i pojechała do Paryża, ażeby Helenkę na pensję oddać, i dom na zimę urządzić. Ja jedna z tobą pozostałam, boś na odrę chorował, i w parę dopiero tygodni powróciliśmy do Paryża.

Tej zimy, droga mama starała się mnie zabawić, bywaliliśmy więc niekiedy na wieczorach; z tych najprzyjemniejsze dla naszego kółka odbywały się u twego ojca chrzestnego, zacnego p. Sienkiewicza, któ-

remu trudno było znaleźć równego nie-tylko co do gościnności staropolskiej, ale co do daru ożywiania i zabawiania gości. U nas zbierano się co czwartek na herbatę, a że w gronie naszym nie brakło młodych i dorastających, bawiono się zatem wesoło przy najskromniejszym przyjęciu. W niedziele chodziliśmy do pp. Laurent bawić się i biegać z ich córkami po ogromnym salonie, przyczem stare mury Arsenалу trząść się nieraz zdawały. Ilekroć wyjeżdżałyśmy z mamą, a ojciec nam nie towarzyszył, zawsze pytał się, o której powrócimy? i trzeba było akuratnie godziny się trzymać, bo na nas czekał i nie położył się, póki całej swojej gromady nie czuł w domu. O nasze toalety mniej był dbały, i pamiętam, jak pewnego razu mama ubrawszy mnie na wieczór, kazała pójść ojcu się pokazać. Wsunęłam się zatem cicho do pokoju ojca, który zadumany fajkę palił. W całym blasku nowej białej sukienki czekałam, aż mi coś o niej powie; ale ojciec, widząc, że przed nim stoję nieruchomie, zapytał tylko: «Czegoż chcesz»? Zmieszana tem zapytaniem, odpowiedzia-

łam, że mama kazała mi przyjść się papie pokazać.

— A prawda, — rzekł ojciec — ubrałaś się; ale wierzaj mi, moje dziecko, że wszystkie te wasze stroje nic nie znaczą, i że mężczyźni wcale nie uważają jak tam która wygląda i jaką ma suknię. Ja sam dawniej bardzo upodobałem sobie osobę, którą wszyscy znajdowali brzydką, i gdyby nie to, że była Rosyanką, może byłbym się z nią ożenił.

Spuściwszy głowę, odeszłam, nie zupełnie jednak przekonana zapewnieniem ojcowskim. O pusta młodości!

Zima dość jeszcze spokojnie przeszła. Mama czasem słabowała, ale energiczna i wytrwała, zaraz podnosiła się, nie dając nam czasu niepokoić się. Ku wiosnie częściej zapadać zaczęła; radzono się doktorów rozmaitych, ale ani na siłach, ani na humorze nie traciła, i piękna jej twarz nie zdradzała jeszcze cierpienia. Helence i Włodziowi doktor był zalecił kąpiele morskie; nie mogąc jechać z nami wszystkiemi, powierzyła ich mama dobrej znajomej, żonie p. Henryka Martin. My doczekaliśmy w Ar-

senale wakacyj, których początek pamiętnie dla mnie oznaczyła mowa ojca przy rozdaniu nagród w szkole Batignolskiej. Pierwszy i ostatni raz wówczas widziałam go mówiącego publicznie, z tą powagą natchnioną, która słowom płynącym z ust jego dziwnie uroczystą nadawała cechę, i pełne prostoty odezwanie się do dziatwy szkolnej zamieniła w coś tak wzniosłego i rozrzewniającego, że wrażenie, którego wówczas doznałam, nigdy się nie powtórzyło.

Parę dni jeszcze upłynęło spokojnie, i ojciec, szczerze śmiejąc się, przyszedł nam opowiedzieć, jak uległszy z trudnością naleganiom jakiegoś Francuza (bo nie cierpiał pozować dla malarzów lub rzeźbiarzy, którzy już niemało byli go namęczyli), żeby choć zdaleka w czytelni biblioteki pozwolił mu przypatrywać się sobie i szkic narysować, przy pożegnaniu dopiero dowiedział się, że rysownik ów był karykaturzystą i że chodziło o umieszczenie Mickiewicza w Panteonie karykatur wielkich ludzi Nadara.

Wkrótce, niestety, śmiech miał na za-

wsze ucichnąć w naszym domu, bo 15-go sierpnia, na same imieniny cesarskie, cień czarny, który dotąd wisiał tylko nad nami, objawił się widomie. Mama tak gwałtownie zapadła, że mocno pozostała słabą i o wywiezieniu jej na wieś nie można było myśleć. Dla młodszych dzieci, potrzebujących wytchnienia na wakacje, ojciec najął pokoiki w Montmorency, oddając je pod opiekę dawnej znajomej, pocztowej Francuzki p. Rossignol. Ja czasem tylko dojeżdżałam do nich na kilka godzin, pozostając przy mamie, która zawsze pogodna i myśląca o drugich, jak najczęściej starała się mnie oddalać, abym użyła spaceru lub rozrywki. Smutno upływały dni letnie, smutniej jeszcze początek jesieni. Mama już prawie nie opuszczała łóżka i coraz dotkliwsze cierpienia wyniszczały ją. Stoi mi dotąd w oczach, jak raz korzystając z pięknej pogody i jasnego słońca, przesunęliśmy mamę na fotelu aż do sali jadalnej, bladą już bardzo, ale zawsze śliczną. Ojciec przyszedł do niej, ciesząc się, że wstała, pocałował jej rękę i przytrzymał w swoich dłoniach, gładząc powoli tę

drobną, wychudłą rączkę, w którą się wpatrywał. Mama spojrzała mu wówczas w oczy i uśmiechnęła się smutnie, jak gdyby mówiąc: «Patrz, co się ze mnie zrobiło»! A ojciec odpowiadając na myśl, którą na jej twarzy wyczytał, rzekł tonem wesołym i pełnym otuchy:

— Wszak tę rękę kiedyś jeszcze chudsza widziałem, a przecież wyzdrowiałaś»!

Ale nie miał się, niestety, prognostyk jego sprawdzić. Daremnie następowały konsylia po konsyliach i leki po lekach; doktorowie nietylko zdrowia przywrócić nie mogli temu młodemu i silnemu jeszcze organizmowi, ale nawet cierpienie złagodzić nie potrafili; a okropne musiały być te cierpienia, które tak energicznej i cierplivej istocie całymi godzinami jęki wyrywały. Okropnie też było patrzeć na te męczarnie ukochanej osoby, nie mogąc żadnej ulgi jej przynieść. Jedynym balsamem na jej męki, była obecność ojca, który pocieszając ją i uspokajając, zdawał się bole jej uśmierzać, i którego też imię najczęściej wśród paroksyzmów cierpienia z ust jej się wyrywało.

Na końcu listopada, przyjazd kochanej ciotki Zofii, która przybywała starania nasze przy chorej dzielić, chwilowo mamę podźwignął; ale przelotny był to błysk polepszenia, wywołany radosnem wzruszeniem. W grudniu głęboko ją poruszyła i wstrząsnęła nią tak bolesna dla nas wszystkich wiadomość o śmierci p. Leona Faucher. Na imieniny ojca już nie mogła mama zasiąść z nami za stołem, i do jej łóżka poszliśmy dzielić się opłatkiem, którego na ziemi już ani ojciec, ani mama przełamać z nami więcej nie mieli. Coraz widoczniej zbliżało się ku nam nieszczęście, któremu wierzyć się jeszcze nie mogło; aż w styczniu choroba zdała się nowy wziąć obrót — bole uśmierzyły się, apetyt zaczął powracać, a z nim i siły. Mama, która stan swój już widziała, zawczasu była ojca uprosiła, aby, kiedy jej przyjdzie przygotować się na śmierć, on sam, a nikt inny, ostrzegł ją o zbliżającej się ostatniej chwili; wówczas jednak wraz z doktorami zaczęła wierzyć w swoje wyzdrowienie, i z uśmiechniętą twarzą nam wyznawać, jakby o rzeczy przeszłej, że już bardzo źle

z nią było, i że dużo wycierpiała myśląc, że jej przyjdzie nas opuścić. O tyle też była pokrzepiona, że codziennie wstawiała i nawet domem znów potrosze zajmować się zaczęła; ale zwodnicze było to polepszenie, chwila wytchnienia przed ostatniem pożegnaniem!

W lutym znowu nastąpiło pogorszenie, ale że chciała mama koniecznie, abym z ciotką była na wieczorze, kazała, aby przede mną ukryto groźne symptomy, które zresztą nie po raz pierwszy okazywały się. Przed wyjazdem moim na wieczór, zażądała, żebym przyszła do jej pokoju, i z uśmiechem obejrzała moje ubranie; a kiedym wróciła, nie pozwolono mi wejść do jej pokoju, mówiąc, że śpi. Jakże też straszne było moje przerażenie, kiedy na-
zajutrz rano wchodząc do matki, obaczy-
łam na jej twarzy tę zmianę, która naj-
mniej świadomego nie omyli — cechę zbliża-
jącej się śmierci! Poczułam, że jej nam nic
już zachować nie zdoła. Ojciec, tak jak była
zażądała, sam oznajmił jej wyrok doktorów,
który posłyszała, jak później nam mówił,
z pogodą i męstwem żołnierza.

Odtąd prawdziwie nadludzki spokój zapanował u niej nad wszystkimi bólami fizycznymi i nad cierpieniami duszy, której jakże ciężko musiało być świat ten opuszczać, na którym tak kochaną, tak potrzebną była! Na drugi dzień sama zażądała księdza, i spowiedź odbywszy, z całą przytomnością, w obecności nas wszystkich przyjęła ostatnie Namaszczenie z największą rezygnacją i wiarą, sama odmawiając modlitwy. Potem dzieci zawołała do siebie, każde z osobna pocałowała, pobłogosławiła. Nawet w tej chwili, tak okropnej dla serca matki, nie opuściła jej błoga spokojność, i widząc nasze łzy i trwogę, uspokajała nas i pocieszała, powtarzając (choć dobrze wiedziała całą prawdę), żebyśmy nie płakali, żebyśmy się nie bali, że ona może jeszcze powrócić do zdrowia.

Dzień ten niedzielny upływał jej cicho, choć w ciągłych cierpieniach, a widząc moje i ciotki zmęczenie, koło północy kazała nam koniecznie pójść się położyć. Została przy niej dobra przyjaciółka, p. Hryniewicka, z którą przez całą noc to odmawiała modlitwy, to najprzytomniej roz-

mawiała. O nikim nie zapomniała, każdej z drogich jej osób, a nawet niektórym od lat kilkunastu niewidzianym znajomym, poleciła przesłać parę słów pożegnania. Nad ranem zażądała Komunii świętej, którą przyniesiono jej podczas naszej nieobecności, bo nie pozwoliła, aby nas budzono. Ojciec tylko, Władzio i p. Hryniewicka byli przy niej, kiedy Wijatyk przyjeła. Potem zażądała jeszcze, aby jej przyprowadzono krewne, które kochała, p. Wołowską i p. Faucher, z którymi czule się pożegnała, polecając ich opiece niektórych biednych, którymi się zajmowała, a o których i w takiej nie zapomniała chwili. Przytomność jej była tak zupełną, że kiedy tego samego ostatniego jej poranku na ziemi, ojciec powtórzył jej tylko co odebraną wiadomość o śmierci cesarza Mikołaja:

— Nie myślałam, — odrzekła z uśmiechem — że tak prędko z nim się zobaczę.

Jedna rzecz tylko odwagę jej i spokój łamała — widok dzieci, które osierocić miała, i które oddalać kazała, mówiąc, że

jej zbyt boleśnie na nie patrzeć. Ukradkiem więc wsuwaliśmy się do jej pokoju, tłumiąc łkanie i zdaleka patrząc na twarz, z której wiał pokój tak uroczysty, że wobec niej łyż nasze przestawały płynąć, bośmy czuli i jakby widzieli, że już przed nią stoją otwarte bramy innego, lepszego świata. Choć już mało co mówiła, serce jej i myśl w tej nawet chwili i wobec wieczności zwracała się jeszcze ku ukochanym na ziemi; bo kiedy po raz ostatni, na parę godzin przed skonaniem, pozwolono mi do niej się zbliżyć, pocałowała mnie zimnemi już usty, i słabo, ale wyraźnie wyrzekła o tobie maleńkim, którego tak ciężko było jej opuścić:

— Ty będziesz mu matką, ty i Zosia.

Modlitwy i błogosławieństwa, które nam dawała cicho, oznaczały ostatnie jej godziny; a choć wciąż jeszcze cierpiała, Bóg po tylu mękach oszczędził jej męczarni i walki konania, oddech tylko coraz słabszy zwiastował zbliżający się koniec. Głowę była oparła na ramieniu ojca, który z nią odmawiał modlitwy; wtem nagle uśmiechnęła się, i z twarzą dziwnie rozjaśnioną,

wyciągając ręce, jakby do kogoś zbliżającego się do niej:

— O, weź mnie już, weź! — szepnęła, i umilkła, jak gdyby odpoczywając, a ogarniał ją już odpoczynek wieczny!

Zgasła tak cicho, że ojciec nie spostrzegł chwili ostatniego jej odetchnienia, i bał się ją przebudzić, mówiąc do nas:

— Cicho dzieci, mama śpi, mama w letargu, — a myśmy uwierzyć nie mogli, że ona nas już nie widzi, tak oko jej było jasne i twarz pogodną została.

Dopiero kiedy ojciec, widząc ją tak nieruchomą, zbliżył do jej ust zwierciadło, a oddech szkła nie zaćmił, wybuchnął płacz i jęk, tak długo przez wzgląd na nią tłumiony. Ale powoli ten anielski wyraz jej twarzy uciszył głośnie wyrazy żalu, nadając i boleści naszej ten spokój uroczysty, z którym była uleciała jej dusza. W kilka godzin po śmierci odmłodziła i wypiękniała jeszcze, a ilekroć, oddaliwszy się z jej pokoju, czułam, że rozpacz mnie ogarnia i próżnia straszna: powracałam zaczerpnąć uspokojenia i pociechy, ukląkwszy przy jej łóżku i wpatrując się w to obli-

cze jaśniejące nadziemską pogodą, w ten spoczynek, który zdawał się świadczyć, że dusza, która tak piękne pozostawiła na uśmiech twarzy ślady, już osiągnęła nagrodę trosk i walk życia. Najczęściej znajdowałam ojca czytającego modlitwy przy tej, której i po śmierci nie odstępował. Tak przez trzy dni mogliśmy jeszcze mamę oglądać osypaną kwiatami wiosennymi, które lubiła i które odtąd zawsze mi sen jej ostatni przypominają. W dzień pogrzebu zdało nam się, że powtórnie ją tracimy, kiedy ukochana postać na zawsze znikła nam z przed oczu. Ojciec i Władzio złożyli ją sami do trumny, w której ja nie miałam już siły jej oglądać. Pogrzeb cały przesunął mi się przed oczami jak sen straszny, a za powrotem przebudził mnie był twój przestach i płacz, boś się przeraził widząc nas wszystkich w grubej żałobie. A nie myliłeś się wówczas, mój Józiu, łzami witając czarne nasze suknie i zapłakane twarze!

Jakże ci opisać to straszne uczucie osierocenia i próżni, które i dusze nasze czarnym całunem pokryło, a którego podzielić

jeszcze nie mogłeś? Coraz to żywiej, coraz to boleśniej dawała się czuć nieobecność tej, wokoło której wszystko się obracało, i która, nawet chora i bezsilna, duszą była wszystkiego, słodkim węzłem i spójnią całej rodziny, aniołem stróżem domowego ogniska. Z jej zniknięciem dom już był rozbity, nawet przy ojcu, nawet przy czynnej i troskliwej opiece ciotki, która z nami była pozostała, aby czuwać nad naszym sieroctwem. Ojciec mężnie znosił smutek, ale każde jego słowo świadczyło jak głęboko był dotknięty. Wkrótce też nawet ostatnie słowa, wymawiane stygnącymi już ustami, dowieść miały miłości jego dla tej, obok której zapragnął, aby go złożono w Montmorency na wiejskim cmentarzu, nieraz przez nich odwiedzanym od śmierci Niemcewicza. A kiedy wieczorem wychodził z zadumania, rozmowa jego zwracała się zawsze ku przedmiotom, które miał na myśli: ku ukochanej zmarłej, o której nagrobku przemyślał, i której, pomnąc może na własne cierpieniach zasłane życie, chciał wystawić krzyż biały marmurowy z koroną cierniową.

Mówiąc o niej i o chwilach jej ostatnich, nieraz rozwijał myśli swoje o przyszłym życiu, o próbie wędrówki ziemskiej, z której jedne dusze poniżone i skalane, drugie lepsze i czystsze, niż na ten świat weszły, wychodzą, aby wedle zasługi, na tamtym świecie w wyższe i szczęśliwsze przejść sfery, lub ze stokroć większym bolem i trudem odrabiać znowu to, czego na ziemi wypełnić nie chciały. Może przeczuciem wiedziony, że i jego opieka nad nami wkrótce widomą być przestanie, mawiał też o swej wierze w pomoc i czuwanie nad nami dusz ukochanych, którym Bóg dozwala opiekować się pozostawionymi na ziemi wędrownikami. A mówił to z takim przekonaniem i wieszczą siłą, że rozjaśniać się zdawała przed nami straszna pozagrobowa zagadka!

Wspomniał wówczas o tych dziwnych przeczuciach, o tych ostrzeżeniach tajemnych, których miał we własnym życiu przykłady,

Raz w Moskwie, podczas gry w wista w znajomym domu, nagle wśród zaczętej partyi, coś go tknęło, aby stolik przenieść

na drugą stronę salonu, a tknęło tak silnie, że powstał, prosząc partnerów, aby mu dopomogli w tamtym kącie się usadowić. Zdziwieni bardzo, dogodzili jednak jego tak niezwykłemu żądaniu, — ledwo zasiedli na nowem miejscu, sufit zawalił się, pokrywając gruzem to, na którem przed chwilą znajdowali się.

Rozmowy te, opowiadania, przeciągały u nas ten nastrój uroczysty, do którego się dusze wznoszą po wielkiej boleści, ale że i ziemskie życie ma swoje prawa konieczne, powoli znów musieliśmy wejść w zwykły tryb pracy, i ojciec widząc, że przy lekcyach i nauce trudno było mnie i Helence czuwać nad tobą, jak tego dziecinny twój wiek wymagał, a ciotka i tak zajęcia miała dosyć — powierzył cię tymczasowo pp. Falkenhagen Zaleskim, którzy uprzejmie ofiarowali wziąć cię do siebie. Przykrem bardzo było dla nas rozstanie się z małym faworytem, choć częstośmy cię widywali, a wesoła twarzyczka świadczyła, jak dobrze ci było u twoich opiekunów.

Dla ojca potężną dywersją w smutku

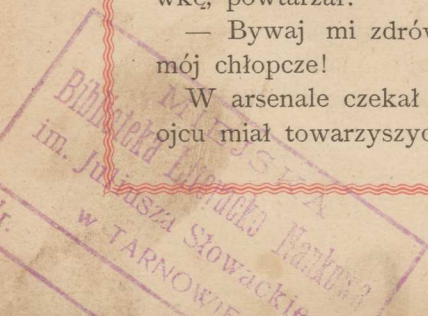
przyniosły ważące się wówczas kwestye polityczne, w których coraz żywszy, coraz czynniejszy zaczął brać udział. Zbierali się u nas wieczorem wyobraziciele tego lub owego stronnictwa. Rozmowom często i ciekawie przysłuchując się, zapewne ocenić nie mogłam całej doniosłości poruszanych kwestyj; ale widziałam młodociany entuzjizm ojca, tę gorącą chęć jego zespolenia w jednej wspólnej myśli i dążności sił rozerwanych lub nienawistnych sobie, i usilowania jego niezmordowane, i jasne nadzieje, które ostateczny zawód miał spotkać. W najważniejszej chwili przyszło mi odjechać, bo zdrowie moje po długich staraniach i czuwaniu przy mamie, a raczej wskutek takiego zmartwienia, zachwiało się, i doktor kazał mi jechać do kąpieli morskich. Ciotka powiozła mnie więc na kilka tygodni do Royan. Przez ten czas ojciec najął dla dzieci mieszkanie w Fontainebleau, aby zbliżyć się do przyjaciela swego p. Bohdana Zaleskiego.

Za powrotem moim z ciotką we wrześniu, nowe tylko czekało nas i to ostatnie rozstanie. Ledwie miałyśmy czas rozgościć

się w mieszkaniu koło lasu, nacieszyć się tobą, którego na wakacje ojciec był wziął do domu, kiedy w parę dni ojciec przyjechał z Paryża bardzo ożywiony, zwiastując nam nowinę, że z poleceniem rządowym na Wschód wyjeżdża. Po pierwszej chwili wzruszenia, zniknął prawie smutek rozstania się z nim na kilka miesięcy, wobec tego jego ożywienia i pokrzepienia moralnego. Myślałam, że wyzwolony z niewoli arsenalskiej, odetchnie w poetycznym kraju, który od tak dawna pragnął zobaczyć; że nowego zaczerpnie życia w sympatycznym dla siebie żywiole — i uspokojona, a nawet pełna pięknych nadziei, wróciłam do Paryża z ciotką i Władziem zając się przygotowaniem do wyjazdu ojca. Oleś i Jaś z tobą w Fontainebleau pozostali; tam was ojciec pożegnał i szczególnie był wzruszony, kiedy nachylony nad tobą i kilkakrotnie całując jasną twą głowę, powtarzał:

— Bywaj mi zdrów, bywaj mi zdrów, mój chłopcze!

W arsenale czekał nas Służalski, który ojcu miał towarzyszyć; co wielkiem było



dla nas uspokojeniem, bo trudno było wierniejszego wyobrazić sobie stróża, niż ten, sercem i duszą oddany ojcu poczwieć.

Szybko dni kilka upłynęło na przygotowaniach do drogi, wśród odwiedzin i pożegnań przyjaciół i znajomych. Fantazyja Służalskiego, podniecona perspektywą Wschodu, epicznych dosięgała rozmiarów, każdy kufer dawał mu nowy temat improwizacyi, a namiot podróżny, który ojciec zabierał z sobą, w zachwyt go wprowadzał, kiedy w myśli szumnie go rozkładał, i chorągwią, którą nam nagwałt szyć kazał, przyozdabiał. Trzeba było o smutku zapomnieć i śmiać się nieraz serdecznie, a żadne czarne przeczucie nie ostrzegło mnie wówczas, w jakiej żałobie misyi swej przy ojcu dokona wesoły stróż-Kozak. Pamiętam pierwszy list jego z Konstantynopola, od tych słów się zaczynający:

«Gdybym miał Bosfor cały za kałamarz, a najcienień zatemperowany minaret za pióro, jeszczebym nie potrafił opisać...».

Ojciec jednak, choć w domu rozporządził się tylko na kilka miesięcy, dalej prze-

cież poważniej w przyszłość patrzył: bo przez dwa ostatnie dni zamknięty w swoim pokoju, wciąż papiery palił, niszcząc zapewne to, czego nie chciał, aby po nim czytano, i wykonywając niejako zawczasu ostatnią swą wolę.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu. Ku wieczorowi ojciec żwawo i wesoło wyszedł ze starych murów arsenału, i odwieźliśmy go na kolej. Słońce właśnie zachodziło, i przy wejściu do dworca, ostatnie jego promienie ozłacały twarz ojca, tak pełną życia, energii, zdrowia, że lżej mi się na sercu zrobiło i pierzchnęły mimowolne obawy tej gorzkiej chwili. Ale zaraz znowu żal mnie ogarnął, gdy nie pozwolono nam za ojcem wejść do *salle d'attente* i na progu trzeba się było z nim pożegnać. Uścisnął nas i pożegnał szybko, jakby broniąc się od rozrzewnienia, i wszedł w głąb sali; ale przy drzwiach odwrócił się jeszcze i skinął ku nam, nim zniknął — tą razą na zawsze!

W miesiąc później, ledwo ucieszyłam się listem ojca, zaczynającym się od słów: «Zdrów jestem, moja Maryniu», nadszedł

do ciotki drugi od Służalskiego, niosący wieść straszną:

Sambuł dnia 28 listopada 1855 r.

JESEN

Już wiecie wyroki Wszechmocnego. — Nie mam jednego wyrazu pociechy dla Was, na taki ogrom nieszczęścia. — Bóg jeden mocen Was pocieszać. Piszę to nad ciałem zabalsamowanem już, które życzył nieboszczyk, by mogło obok żony kiedyś spocząć, — jaknajśpieszniej przywieziem go do Paryża. — Ufajcie w Bogu, nieszczęśliwe, niepocieszone sieroty!.. Wiem jaka boleść mnie wśród Was czeka i to, że Wy tylko jedni moję czujecie.

Czemuż nie dano mi było Adama wyprzedzić w tej smutnej potrzebie. Już pewno nic boleśniejszego przyszłość dla mnie wynaleść nie zdoła. — Nie cierpiał — usnął — ledwo kilka słów sakramentalnie mej pamięci powierzył, które, jeśli wyżyję, wam oddam.

Wasz na wieki sługa

Służalski.

Byliśmy już sierotami, a w trumnie od-
wieziono nam ojca, aby wedle ostatniego
swego życzenia, spoczął obok tej, która tak
niedługo czekała na niego.



Wiele mylnych szczegółów, poprzekręcanych faktów, które od czasu pierwszego wydania niniejszej książeczki, wyczytałam w rozmaitych artykułach biograficznych o moim ojcu, nieraz budziły we mnie chęć sprostowania fałszów, które raz i drugi powtórzone, liczą się potem za pewniki, na których nowe opierają się prace. Ale namnożyło się ich tyle, że z samego ich tylko wylizania złożyłaby się książka cała, i znużyćby mogła czytelnika niewdzięczna ta praca. Sądzę, że przytoczenie kilku urywków dostatecznem będzie na wykazanie wiarygodności niektórych źródeł, z których dziś czerpią biografowie, — dadzą bowiem one jasne pojęcie o sumienności autorów.

Na pierwszym miejscu stoją wspomnienia p. Aloizego Ligenzy Niewiarowicza, odzywającego się z powagą «naocznego

świadka», a nadającego sobie nieomylność wyroczni. Wistocie bywał on w domu moich rodziców, tak jak wielu innych, którzy nie mieli jednak pretensyi przedstawiać siebie za «najbliższego przyjaciela», ani opowiadać publiczności, obok niektórych szczegółów prawdziwych, innych rażąco fałszywych.

Pisze on naprzykład, że te słowa «Adam powiedział», idąc odwiedzić mamkę starszej córeczki swojej Maryli. Mamka ta zaś nigdy nie istniała gdzieindziej, jak w wyobraźni p. Niewiarowicza, bo matka mnie sama karmiła, jak i inne swe dzieci.

Raz wraz można zaprzeczenia takie postawić p. Niewiarowiczowi, który zamiast niedowierzać osłabionej zapewne pamięci, bez wahania się, mnoży opowiadania faktów, które znał niedokładnie, lub nawpół zasłyszawszy tylko, przekreślił. Wymownym tego dowodem jest przekształcenie, któremu uległo, drobne zresztą, zdarzenie, (ale czemuż drobiazg znaczyć coś może, jeżeli nie dokładnością?) które ojciec w Arsenale, śmiejąc się, zaraz nam powtórzył, wracając z Palais-Royal.

Przyjechał go odwiedzić bardzo mu życzliwy, a znany ze swej oryginalności i roztargnienia, hrabia Ksawery Branicki. Wśród ożywionej rozmowy, ojciec spojrzał na zegarek, przepraszając gościa, że musi go wyprosić, bo o 3-ciej obiecał być w Palais-Royal, gdzie oczekiwać go będą.

— O trzeciej? Toż dopiero kwadrans po drugiej.

— Zapewne, ale to daleko, i nim zajdę, albo zajadę...

— Mam na dole powóz, w dziesięć minut tam zajedziemy, a teraz możemy jeszcze rozmawiać.

— Jeżeli tak, to i owszem.

Punkt o 3-ciej istotnie ekwipaż hrabiego stanął na miejscu.

— Gdyby nie tak dobre konie, — zauważył ojciec — byłbym się pewnie zapóźnił.

— A prawda, żeto wielka oszczędność czasu, prędkie konie. Ale... *à propos*... dlaczegoż pan nie trzymasz powozu?

Zapytanie to tak się ojcu zabawnem wydało, że z udaną powagą, nachylając się do hrabiego, tajemniczo mu szepnął:

— Dla powodów politycznych.

Dziwnie niedorzecznie wygląda ten żarcik w ustach p. Niewiarowicza, który rzecz tę opowiada w następny sposób, jako dowód pogardy Mickiewicza dla form światowych:

«Pewnego razu księżniczka francuska «zaprosiła na obiad Mickiewicza ¹⁾. Tego «dnia deszcz padał i ulice były zabłocone. «Adam, nie wiem, czy nie chciał, czy też «nie miał za co wziąć fiakra, poszedł do «pałacu piechotą i wszedł do salonu w zabłoconem obuwiu. Księżna spostrzegłszy «to, zapytała Adama:

— «Czy deszcz pada?

— «Tak jest, księżno, pada.

— «Pan pieszo przyszedłeś?

— «Tak jest, piechotą.

— «A czemuż pan nie wziąłeś powozu?

— «Sprzeciwiało się to moim opiniom politycznym — odrzekł z uśmiechem Adam.

¹⁾ «Prawdopodobnie żona Hieronima Bonapartego, u którego częstym był gościem». (*Przypisek p. Władysława Bełzy.*)

Król Hieronim oddawna już był wdowcem, kiedy do Francyi powrócił. (*Przypisek Autorki.*)

«Księżna zamilkła, i zapewne pomyślała, że Adam należy do jakiego stowarzyszenia, w którym obowiązywało niedbanie o formy światowe i abnegacya, a może też i domyślała się prawdy, to jest, że Adam należał wtedy do stowarzyszenia ludzi mających puste kieszenie».

Inny znów drobiazg przypadkowy zamienił w zwyczaj domowy, cechujący stosunki z rodziną. W czasie naszego pobytu na *rue du Boulevard*, ojciec będąc niezdrowym, miał zaleconą dyetę, i jadał tylko raz na dzień około 1-szej po południu. Nasza zaś pora obiadowa, którą trudno było zmienić przy nawyknięciach i lekcyach dzieci, przypadała daleko później. Gotowano więc dla ojca obiad osobno, pod troskliwym nadzorem mamy. Zdarzyło się p. Niewiarowiczowi to zobaczyć, więc orzeka ze stanowczością człowieka, który odkrył niezmiennie jakieś prawo:

«Adam jadał zawsze osobno, a żona gotowała mu osobne potrawy».

Rzeczy większej wagi p. Niewiarowicz całkiem już zaimprovizował, pisząc n. p. o moim ojcu, że:

«W szkołach będąc, czytywał wszystkie
«gazety krajowe i zagraniczne. Obeznany
«z wszystkimi wypadkami tak wojennymi
«jako też politycznymi, w które naówczas
«Europa obfitowała, tworzył kombinacje
«międzynarodowe i narodowe... i stał się
«w 14-tym roku życia mężem stanu w No-
«wogródku».

Uszło widać uwagi p. Niewiarowicza, że
w r. 1812 na Litwie, nawet u najbogatszego
magnata rzadkością była gazeta zagrani-
czna, cóż dopiero u adwokata nowogródz-
kiego, u którego, wątpić można, żeby
wówczas i krajowa ¹⁾ się znajdowała.

Z równą stanowczością, a większem
jeszcze nieprawdopodobieństwem, twierdzi
p. Niewiarowicz, że «Adam był przyłączony
do poselstwa rosyjskiego w Rzymie», ab-
surdum, o którym nikomu się nie zama-
rzyło ni wówczas, ni potem.

Do dziedziny fantazyi należą też opo-
wiadania jego o naszej matce, i ów por-
tret Maryli, przez niego skreślony, w któ-
rym cienia podobieństwa do prawdziwego

¹⁾ Krajową na całą Litwę był jeden «Kurier Litewski».

wizerunku Maryli niema. Daremnemi były moje i mego brata uwagi przesłane p. Nie-wiarowiczowi zaraz po wydaniu jego utworu.

Inny «naoczny świadek» (Nowiny 1854, Nr. 48), tak zaczyna opis bytności swej u ojca w r. 1849:

«Przez kuchenkę szczupłą i ciasną i długi «pokoik zavalony łózkami młodszych i starszych, wchodzi się do większego nieco «saloniku. . .».

Tam, gdzieśmy wówczas mieszkali, salon był na dole, pokoje sypialne na pierwszym piętrze, kuchnia zaś, całkiem oddzielna, dwa tylko miała wejścia, jedno z kredensu, drugie z ogrodu.

Reszta opowiadania wiernością równać się może opisaniu mieszkania.

I na takichto «źródłach» biografowie opierają swe wywody!..

* * *

Obecnie doszłam do tego przekonania, że w miarę ubywania z tego świata osób rzeczywiście blisko z ojcem naszym znanych, coraz bardziej się zwiększa ilość

ogłaszanych nibyto wspomnień o nim, przez osoby upewniające o wielkiej z nim zażyłości, chociaż niekiedy wcale go nawet nie znały. Zresztą rzecz ta bardzo łatwo da się wytłómaczyć. Im mniej jest świadków żyjących, tem śmiej bujać można po krainie fantazyi.

Groby milczą. Protest z nich się nie odezwie.

Dopóki jednak ja żyję, dopóty uważam za święty obowiązek prostować wszelkie fałsze, zaprzeczać ośzczerstwom. Bo nie spodziewam się, żeby ktokolwiek mógł wątpić, że w rzeczach dotyczących się domowego życia ojca naszego, ja tylko jedynie, zpomiedzy teraz żyjących, najlepiej mogę być poinformowaną. Nawet Władzio, jako młodszy, równać się ze mną pod tym względem nie może.

Otóż ten obowiązek nakazuje mi teraz wymienić umieszczony w «Bluszczu» przed kilku miesiącami «*Dziennik*» pani Zofii Komierowskiej.

Autorka twierdzi, że go pisała w roku 1853. Ale rzeczą jest nader widoczną, że go pisała teraz, dopełniając wyobraźnię to

wszystko, co w przeciągu trzydziestu pięciu lat z pamięci uleciało.

Zapowiadam wszakże wyraźnie, że bynajmniej nie podaję w wątpliwość całego «*Dziennika*», ale to, co mówię, stosuję tylko do opowiadań dotyczących się rodziców naszych.

Że «*Dziennik*» ten nie był pisany w roku 1853, lecz dopiero teraz go ułożono i tytuł «*Dziennika*» nadano, o tem dostatecznie przekonać może opis Popielca. Pani K. zapisuje w swym *quasi* «*Dzienniku*», że była w dzień popielcowy na procesyi wołu tuczonego, i że za kilka dni potem takż sama uroczystość znowu się odbędzie. Tymczasem w Paryżu nigdy karnawałowe obrzędy w dzień popielcowy się nie odbywały. Zwyczaj ten miejscowy obchodzony zawsze bywał w ostatnie dnie Zapust, i «*boeuf gras*» w Tłusty Wtorek wieczorem uroczystie do rzeźalni się odprowadzał, gdzie go pod nóż oddawano. Tem bardziej zaś w «kilka dni potem» uroczystość ta powtarzać się nie mogła.

Anachronizm ten ani gorszy, ani też zgoła mnie obchodzi, lecz wskazuję nań

tylko dla przekonania, jakiego nam figla pamięć nasza wypłatać może, jeżeli zamierzemy pisać nasz dziennik po upływie lat trzydziestu kilku.

Jakkolwiek pani K. zaszczycała rodziców naszych znajomością swoją właśnie w czasie wycieczki mojej do Włoch, o której wyżej wspominałam, to jednak niezmiernie mię zadziwia, że nigdy potem żadnego wspomnienia o niej w domu nie słyszałam, i dopiero teraz «*Dziennikowi*» zawdzięczam dowiedzenie się o jej istnieniu. Ta uwaga moja nie stanowiłaby zarzutu poważnego, lecz przy zarzutach następnych, i ona nabierze pewnego znaczenia.

Nie mogę wyjść z podziwienia, wycytując w «*Dzienniku*», że ojciec nasz «przy czarnej kawie zadeklamował *Agamemnona* Słowackiego (!!!)». Nigdy w życiu ani jednego wiersza Słowackiego z ust ojca nie słyszałam, gdyż go nie lubił, i nawet rozmowy o nim unikał. A miałby całego *Agamemnona* na pamięć się wyuczać, żeby się nim potem przed panią K. popisywać!

Ale w osłupienie mię wprawia opowia-

danie o śpiewaniu przez ojca «na całe gardło» piosnki ludowej:

«Tańcowała Małgorzata,
«Tańcował i Grzegorz».

Nigdy tej piosnki nie słyszała, lecz po przeczytaniu «*Dziennika*», zajrzałam do cen- nego zbioru Oskara Kolberga i wtedy już zdumienie moje doszło do najwyższego stopnia. Bo włożenie w usta ojca naszego, filarety, w towarzystwie przyzwoitem, — piosnki karczemnej, mającej nawet wary- anty cyniczne, — nie waham się nazwać... roztargnieniem nie do przebaczenia.

A cóż powiedzieć o kolorycie, jakim pani K. raczyła powlec postać matki na- szej!

Sąd dzieci o rodzicach, z samej natury rzeczy, musi być poniekąd stronnym. To też nie spierałabym się z nikim, komuby się rodzice moi nie podobali, gdyż to rzecz gustu, a z gustem wojować niepo- dobna.

Ale wszyscy, którzy tylko znali matkę naszą, jednozgodnie przyznawali, że obok wytwornego wychowania, była pełną taktu

i niezrównanej delikatności. A jednak pani K. opowiada, że kiedy razu pewnego przy wieczornej herbacie, ojciec nasz improwizował, matka mu przerwała, żądając drobnych na kupienie bułek!

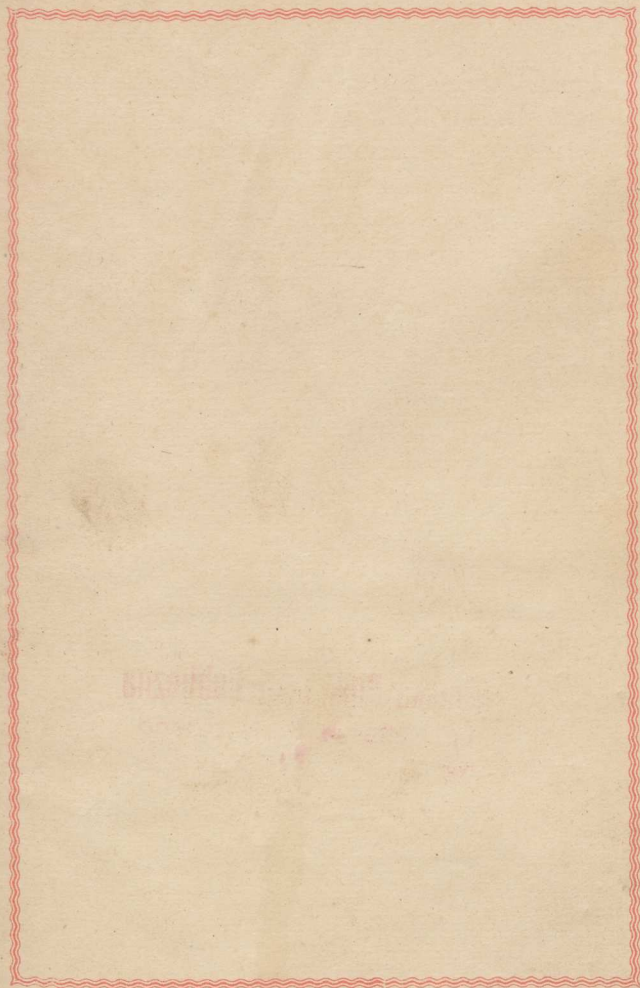
Mogła pani K. zapomnieć, że po późnym obiedzie u rodziców naszych podawano zwykle tylko czystą herbatę, przy której nigdy bułki się nie ukazywały, — ale pamiętać należało, że kto wdaje się w opisywanie drobiazgów, ten drobiazgowo też dokładnym być musi, a cóż dopiero, gdy się ośmiela cudze słowa przytaczać!..

Miejska Biblioteka Publiczna

im. Juliusza Słowackiego

W TARNOWIE

C-35624



WYKŁADY
PRAWA LITERACKIEGO
JANUSZ SŁOWICKI
W WARSZAWIE

